



3
nie stać
z boku



5
takie
czasy



8-9
pojedziemy
na łów



11-12
ordynał
Michorowski



13
katalog
szarości

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

29

(144)

KONTAKTY
17 VII 83

cena
10 zł



wielka kość niezgody

podłopianie chłopa

STANISŁAW
ZIELINSKI

Przed ponad dwudziestu laty pniewiaci przyjmowali meliorację jak największe dobrodziejstwo, zesłane im przez władzę wojewódzką w Białymstoku. Ileż to razy wylegali wtedy na łaki, mierzyli na sąźnie i na kroki przyszłe kopy siana, jakie to im przyjdzie zbierać po przeprowadzeniu drenacji i wykopaniu rowów odwadniających. Wyrażali wdzięczność autorom pomysłu sutymi obiadami, zakropionymi ognistą.

Franciszek Nowacki nie podzielał powszechnego optymizmu co do fachowości robót. Nawet odmówił podpisu na meliorowanie łak. „A co to da — powiadał — jeśli tu, w dole, pokopią rowy, a na górze, od ujścia Biebrzy do Rzędzian, uregulują Narwę? Wiadomo przecież, że woda spłynie na nasze łaki i zrobi z nich jezioro”. Tłumaczył też innym, ale bez skutku. Teraz niejedną łapówkę dałby temu, kto by zabrał tę chybioną meliorację.

Nowacki triumfuje i śmieje się z Wiśniewskiego: — A widzisz, cholero, przez całą drogę kiedyś biegales za mną i w głos prosiłeś: „Franus, podpisz ten papier, bo całej wsi wstyd przynosisz”.

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Szczęście miejsca nie wybiera” ▲ Zapisz się do łomżyńskiego z pierwszych miesięcy niepodległości ▲ O piratach drogowych ▲ Jak mieszkać na strychu ▲ Spotkanie z żoną Wyspiańskiego ▲ Na bezdrożach komunikacji łomżyńskiej ▲ Śpiewanie u Turkotów ▲ Laureaci agrofilmowej wiosny ▲ Wiedza tajemna ▲ Horoskop.

NA GDĄSKIEJ NARADZIE aktywność młodzieżowego PZPR Łomżyńskiego reprezentowało 17 delegatów, przedstawicieli wszystkich środowisk i organizacji młodzieżowych. Maria Dołęgowska (ZMW): — W sali „Oliwii” zasiadło nas cztery tysiące, a choć niewielu mogło podzielić się swymi przemyśleniami publicznie, nie było chyba ani jednej ważnej sprawy, która została pominięta. Mówili o swych problemach młodzi rolnicy i nauczyciele, ludzie kultury, robotnicy i naukowcy. Myli się jednak ten, kto sądzi, iż pojechał tam załatwiać jedynie własne, pokoleniowe interesy. Dla wielu, w tym i dla mnie, najważniejszą rangę miały sprawy przyszłości kraju i świata, porozumienia narodowego i pokoju. Apel „Aby Europa nie stała się Euroszimą” w kontekście wizji „atomowej Europy”, jaką gotuje nam Zachód, to przecież nie propagandowy slogan, lecz najdramatyczniejszy głos o prawo do życia. Przyznam, że zaskoczyła mnie atmosfera kuluarów — miejsca bezpośrednich rozmów z licznymi przedstawicielami rządu i centralnych władz partyjnych — daleka od jałowych grzeczności i protekcyjnego poklepywania. Z wielu mądrych, z pasją wypowiadanych zdań najbardziej utkwiło mi w pamięci żarliwe zawołanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego: „Te my wolamy, chodźcie z nami! I nasze będzie zwycięstwo, ale nie na «V» lecz na polskiej «Z»”.

ZESPÓŁ WYKONAWCZY Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON przedyskutował przygotowania do wojewódzkiego zjazdu, przedstawił opracowane warianty zasad wyboru delegatów, wyłaniania przewodniczącego i Rady Wojewódzkiej. W związku ze zbliżającymi się świętami Odrodzenia Polski PRON przyjął patronat nad organizacją antywojennego wiecu, który odbędzie się 17 lipca w Jeziorku — miejscu straceń kilkuset Polaków z całego województwa.

NAD CZYM PRACUJĄ gminne organizacje partyjne? Odpowiadają sekretarze KG PZPR.

Snadowo: — Na posiedzeniu plenarnym KG PZPR i KG ZSL podjęliśmy uchwałę, której celem jest usprawnienie prac zniwnych. Np. SKR-y zostały zobowiązane do wykonywania w pierwszej kolejności usług u ludzi starych i samotnych. Ich punkty będą pracowały do godz. 20.00. Spółdzielni Gminnej poleciłmy przedłużenie pracy magazynów skupu i sklepów z artykułami do produkcji rolnej. Egzekutywa KG PZPR wystąpiła do naczelnika gminy z propozycją wcześniejszego rozpoczynania pracy Urzędu.

Szumowo: — Chcemy ożywić działania PRON-u na wsi i nasza uwaga skupia się przede wszystkim na tym. Podobnie jak sąsiedzi, mamy kłopoty ze stonką ziemniaczaną i sznurkiem do snopowiązałek. Zamierzamy, głównie w czynnie społeczny, przystąpić do rozbudowy zbiorczej szkoły gminnej.

Zaręby Kościelne: — Przygotowujemy się do Egzekutywy KG PZPR, która oceni funkcjonowanie OKON-ów na terenie gminy. Z okazji 22 Lipca organizujemy sesję Gminnej Rady Narodowej z aktywistami PRON-u. Oczywiście, sprawy akcji zniwnej absorbują nas w tej chwili najbardziej.

MIEJSCE OKON-u w zakładzie pracy, jego podstawowe funkcje u boku samorządów pracowniczych i ogniw związkowych — to główne problemy spotkania przedstawicieli zakładowych OKON-ów z całego województwa, podczas którego powołano Komisję do spraw zakładowych OKON-ów jako stały organ TRW PRON. Przewodniczącym został Marian Koćwin w ŁZPB „Narew”.

MONOPOLISIE handlowo-usługowemu na wsi łomżyńskiej — gminnym spółdzielniom — nie grozi plajta: wyniki ekonomiczne ubiegłego roku były znacznie wyższe niż w poprzednich. Zarówno aktywność spółdzielni, jak i ich zarządy zdają sobie jednak sprawę, że wzrost dochodów dokonał się głównie dzięki wzrostowi cen i rok bieżący będzie z pewnością mniej „efektywny”. Trzeba więc pomyśleć o usprawnieniach organizacyjnych i oszczędniejszym gospodaro-

waniu geosów. Inne wnioski, jakie wypłynęły w trakcie (zakończonych właśnie) kampanii walnych zebrań we wszystkich jednostkach Spółdzielni: konieczność usprawnienia powszechnie krytykowanego systemu kontraktacji, funkcjonowania służb rolnych, a przede wszystkim zahamowanie nadmiernego rozrastania się administracji. Kłopoty spółdzielców w bieżącym roku to także znaczny wzrost podatku od nieruchomości i cen usług transportowych.

PRZYBYWA BIBLIOTEK WIEJSKICH: z własnej, skromnej księżnicy korzystać już mogą mieszkańcy Grądów - Wonięcka, wkrótce otrzyma ją wieś Wojny-Szuby. W obu placówkach księgozbiory liczą na razie po tysiąc książek.

MISTRZOWIE PRODUKCJI mleka, żywca wieprzowego, wołowego i baraniny za rok 1982, wyłonieni spośród 166 uczestników konkursu: Władysław Kosk z Leszczki Dużej, Władysław Konopka z Konopek Monet, Henryk Strzeczewski z Wybór Trzcierek i Franciszek Grodzki z Chojn. Tytuły wicemistrzowskie uzyskali: Józef Jankowski, Jan Stokowski, Stefan Grzybski, Piotr Brzozowski, Zdzisław Mystkowski, Stanisław Tworowski i Stanisław Golaszewski. Wszyscy oni osiągnęli w swych gospodarstwach produkcję kilkakrotnie wyższą (w przeliczeniu na hektar) od średniej wojewódzkiej.

PLONA LASY: miliony strat, 120 hektarów pogorzelisko, kilkadziesiąt interwencji straży pożarnych — oto bilans niedbalstwa i bezzmyślności. Najgroźniejszy pożar — koło wsi Serwatki w gminie Nowogród — strawił prawie 80 hektarów lasu w wieku 20—25 lat. Ze względu na beztroskę wielu pseudoturystów, za nie mających zasady elementarnej odpowiedzialności, może dojść do zamknięcia kompleksów leśnych przed wszystkimi amatorami jagód, grzybów i świeżego powietrza na całe lato.

BIEGI PRZELAJOWE, wysięg kolarski, mecze piłki nożnej i tenisa stołowego, wieczorne dyskoteki przy dobrej muzyce wypełniły dwudniowy festyn, zorganizowany przez koło ZMW w Pniewie i Biuro Rejonowe w Łomży. Czyżby zapowiedź powrotu festynu ludowego w — ubogi kulturowo — wiejski pejzaż?

LATO '83. Czterdziestu pięciu członków ZMW przebywa, łącząc pracę z turystyką, w okręgu Karl-Marx-Stadt w NRD; trzydziści pięć osób wyjedzie tam w sierpniu.

DODATKOWY KILOGRAM CUKRU nabyć można w lipcu na kartki P1, P2, P3 (odcinek rezerwowany nr 80) oraz na kartkę 0 (odcinek — R-01).

PROBLEM OCHRONY ZABYTEKÓW doczekał się interesującej formy popularyzacji: z inicjatywy Oddziału PTTK w Ciechanowcu i Komisji Opieki nad Zabytkami ZG PTTK został zorganizowany w Ciechanowcu ogólnopolski obóz specjalistyczny dla uczniów szkół średnich zainteresowanych tą tematyką. W pierwszym turnusie uczestniczy 30 osób, w tym 10 z Łomżyńskiego.

OSIEMDZIESIĘCIU wodniaków zdobywa uprawnienia żeglarskie, a bardziej zaawansowani — stopień sternika na żeglarskim obozie szkoleniowo-wypoczynkowym nad Jeziorem Rajgrodzkim, zorganizowanym przez Chorągiew ZHP w Łomży.

ZAKŁOCENIA SPOKOJU, prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym, nabywanie alkoholu w nielegalnych miejscach sprzedaży i spożywanie ich wbrew zakazom ustawy, będzie karane do końca br. — zgodnie z zarządzeniem wojewody łomżyńskiego — przez kolegą ds.

wykroczeń w trybie przyspieszonym następującymi sankcjami: kara aresztu do 3 miesięcy, ograniczenia wolności do 3 miesięcy, grzywna do 20 tysięcy i — w zależności od rodzaju wykroczenia — dolegliwością dodatkową, np. podaniem orzeczenia do wiadomości publicznej lub zakazem prowadzenia pojazdów od 3 miesięcy do 2 lat.

ZNIAWA '83. Sprawny ich przebieg zależy dziś w głównej mierze od stanu maszyn, szybkości dokonywania ich napraw, możliwości zaopatrzenia się w części zamienne. W okresie zniwnego szczytu nad sprawnością usług świadczonych wsi przez wszystkie instytucje ją obsługujące będą czuwać: Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego — w dni powszednie w godzinach 15.00—22.00, w niedziele i święta w godz. 7.30—22.00, tel. 29-09, 29-10; „Agromat” w Grajewie codziennie w godz. 7.30—18.00, a w niedziele i dni świąteczne w godz. 8.00—14.00, tel. 22-84; Wojewódzki Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych — codziennie w godz. 7.30—19.30, a w święta w godz. 8.00—14.30, tel. 39-07; Składnica Maszyn w Nowogrodzie w godz. 8.00—18.00, a w niedziele w godz. 8.00—14.00, tel. 765-68; WZSR „Samopomoc Chłopska” — codziennie w godz. 7.00—19.00, a w dni świąteczne w godz. 8.00—14.00, tel. 34-41, wew. 81, po godz. 15.00 — 34-46; Składnica Maszyn w Zambrowie — codziennie w godz. 7.00—19.00, tel. 22-08, w tych samych godzinach dyżurować będą: Składnica Maszyn w Kolnie (tel. 24-10), Szepietowie (tel. 161 lub 151) i Grajewie (tel. 21-95); Państwowe Ośrodki Maszynowe będą dyżurować w godz. 7.00—19.00, a w niedziele w godz. 7.00—14.00; dyżurni w POM-ach czekają pod następującymi numerami telefonów: Łomża 52-21 i 57-53, Czyżew 33 i 58, Smolniki 108 i 109, Stawiski 4, Szczuczyn 25 i 26, Zambrów 34-56 i 36-73.

wieści gminne

SNIAADOWO. Już 22 lipca nastąpiłoby uroczyste przekazanie po remoncie budynku OSP, gdyby ktoś nagle nie przypomniał o instalacji centralnego ogrzewania. Trzeba teraz wykonać zsyg węglą i kanał ciepłowniczy. Nie ma też jeszcze ostatecznej wersji wykorzystania pięknej, wyłożonej drewnem, sali widowiskowej. Może zdomowić się tam objazdowe kino?

▲ Popyt na eternit zwiększa szanse zdobycia innych materiałów budowlanych. Dość łatwo dostać beton komórkowy w miejscowym „Prefabecie”. SKR jeszcze w ubiegłym roku zapewnił sobie — w zamian za ziemniaki — dostawy stali. Te 6000 sztuk eternitu, które gmina otrzymała z rozdzielnika, wystarczy na pokrycie ok. 30 proc. dachów.

▲ Od momentu wydania ustawy antyalkoholowej, wymagającej akceptacji wojewody na handel piwem podczas zabaw tanecznych, organizuje się coraz mniej potańcówek. Nie ma zabaw w Kozikach (kiedyś — co tydzień), które pozwoliły zbudować drogę ze wsi do szosy, nie tańczy się też w Rotowie Piotrowie; KGW za utarg z potańcówek kupiło zastawę stołową do wiejskiej wypożyczalni.

▲ W inwentarzu obiektów zabytkowych, który przed kilkoma dniami nadesłał do gminy wojewódzki konserwator, znalazły się i takie, które od kilku lat nie istnieją.

SZUMOWO. Zakończona została budowa dziewiętej (ostatniej) drogi, biorącej początek z ronda w środku Paproci Wielkiej. Przebudowy wymaga jeszcze samo rondo; podjął się jej SKR, ale po zakończeniu prac polowych.

▲ Jest już część materiałów pod rozbudowę — w czynnie społecznym

CIĄG DALSZY NA STR. 15

pytanie drażliwe

Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Łomży obniżyła ceny wszystkich przetworów owocowo-warzywnych z ubiegłorocznego surowca o 20 procent. I bardzo mądrze! Czy wobec tego „Społem” czeka, aż słoiki z dżemem i kompotami zaczną „strzelać” pod wpływem fermentacji? Nietrudno też wyobrazić sobie reakcję łańcuchową: handel zaduszony zapasami nie zamawia nowych przetworów u producenta; producent, nie mając perspektyw zbytu ogranicza skup. Świeże owoce i warzywa gniją, gdyż nie ma ich kto kupić.

JAN RUTKOWSKI, prezes Zarządu Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem” w Łomży: — Nie mam żadnego problemu z zapasami, gdyż prawie wszystko kupiły od nas Powszechne Spółdzielnie Spożywców. Wojewódzka Spółdzielnia prowadzi handel hurtowy i na poziom cen detalicznych nie ma żadnego wpływu.

BOŻENA KARENDYS, wiceprezes Zarządu Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łomży: — Decyzja WSOP-u zmusza i nas do obniżki cen i na pewno ją wprowadzimy. Kiedy, w jakiej wysokości, nie potrafię w tej chwili odpowiedzieć, ale uczynimy to możliwie najszybciej tak, by klient nie omijał naszych sklepów.

notatki z dyżuru dziennikarskiego

— Dlaczego w łomżyńskich sklepach brakuje mleka w proszku? — spytał nas ojciec dwojga małych dzieci. Po nici do kłębka spróbowa- liśmy wyjaśnić przyczyny deficytu mleka. Krystyna Zapert z PSS „Społem” poinformowała: — Brakuje mleka, gdyż nie dostarcza go OSM w Piątnicy.

Okazało się, że Zakład Mleczarski w Piątnicy produkuje mleko w proszku, ale tylko z przeznaczeniem na paszę; spożywcze dostarcza mleczarnia w Łapach, a tam w ostatnich dniach wynikła awaria. Z tego powodu Łomża otrzymała na cały tydzień 400 kilogramów mleka w proszku i 5 lipca br. można było je kupić tylko w trzech sklepach (przy ul. Kierzkowej, Wojska Polskiego, w osiedlu Waltera). Sytuację uratuje — zdaniem kierownika działu handlu OSM w Piątnicy — ostatnia dostawa (4 lipca), w której znalazło się 4,5 tony różnych gatunków mleka w proszku.

Rolnicza ze wsi Kuzie (gm. Zbójna), jak wszyscy mieszkańcy, oczekiwala w kolejce na opryski przeciw stoncy. Lista sporządzona przez miejscowy SKR, rozpoczynająca się od jej nazwiska, okazała się niepotrzebna. Ku swemu zdumieniu i rozpaczy nasza Czytelniczka stwierdziła, że zabieg przeprowadzono w umówionym dniu, lecz z pominięciem jej zagony. Kierownik SKR-u nie umiał odpowiedzieć, dlaczego. Poinformował za to o decyzji naczelnika gminy, że opryski będą wykonywane w kolejnych wsiach i trudno mu powiedzieć, kiedy zajmą się jej ziemniakami.

— Gospodarstwo rolne prowadzi właściwie sama — skarżyła się Czytelniczka. — Mam starych rodziców i 12-letniego syna. Wydeptałam już tyle ścieżek! W Wydziale Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego odesłano mnie do WZKiOR-u. Przyjechałam dzisiaj do Łomży o piątej rano. Straciłam wiele czasu. Czuję się upokorzona takim stosunkiem do prostych ludzi. Minęły więcej niż te obiecane trzy dni i nikt nie zajął na moje pole. Jestem zrozpaczona. Nie wiem, czy ziemniaki będzie można uratować.

Na telefoniczną interwencję dziennikarza pracownik Wydziału Rolnictwa UW poinformował o skierowaniu sprawy do WZKiOR-u. SKR w Zbójnej obiecał, że opryski w Kuziach zostaną powtórzone i tym razem pole naszej Czytelniczki nie zostanie pominięte.

zdanie tygodnia

Państwo jest istotnie suwerenne, jeśli rządzi społeczeństwem i razem służy dobru wspólnemu społeczeństwa, jeśli pozwala Narodowi realizować właściwą mu podmiotowość, właściwą mu tożsamość.

JAN PAWEŁ II

myśl z atestem

„Wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości.”

LEOPOLD STAFF



Przeżyłem wiele rozterek wewnętrznych, spotkał mnie niejednokrotnie zawód. Wątpiłem, pytałem, szukałem gruntu pod nogami. Działalem zgodnie z własnymi przekonaniami, według zasad moralnych, wpojonych mi przez rodziców. Teraz, gdy wracam pamięcią do szkolnych lat, widzę, jak ich mądrość była mi potrzebna w nauce i pracy.

O moim wstąpieniu do PZPR zdecydowali pośrednio ojciec i starszy brat, z którym chodziłem do tej samej szkoły. Pełnił funkcję przewodniczącego zarządu szkolnego Związku Młodzieży Polskiej, o czym ciągle mówiło się w domu. Prześiąknąłem więc atmosferą społecznikostwa. Brat skończył szkołę, ja przejąłem część jego obowiązków. Nie chciałem przypisywać sobie wszystkich zasług, ale oglądano się na mnie i czekali na pomysły. Nie mogłem już bez tego żyć. Weszło mi to w krew. Działalem w radzie mieszkańców w akademiku, wstąpiłem do Zrzeszenia Studentów Polskich. W roku 1961 zostałem członkiem PZPR.

Ojciec nie należał do Partii, ale

łapanie za słówka, nieliczenie się z masami. Protest w grudniu 1970 roku nie mógł być dla Partii zaszkodzeniem. Pamiętam, jak cieszyłem się z pierwszych wystąpień Edwarda Gierka. Mieliśmy nadzieję, że nareszcie będzie lepiej. Nie zapomnę zapachu, który wszystkich ogarnął. Ludzie chętnie brali udział w czynach społecznych, pracowali z ogromnym poświęceniem.

Ale ta dobra passa nie trwała długo. Coraz częściej czytałem decyzje w trybie rozkazującym, pozbawione umiejętności przewidywania reakcji społecznej. Dotyczyło to spraw wielkiej wagi i tych całkiem przyziemnych.

Pamiętam pewne spotkanie z rolnikami w sprawie kontraktacji lnu. Wiesława miała takie możliwości, a sąsiednia — nie. Ludzie nie mogli się z tym pogodzić. Oweczesna tzw. rejonizacja tworzyła wzajemne zażenowanie i konflikty. Sprawa możliwa do załatwienia, istotna dla mieszkańców, urastała do rangi problemu. Zamiast ułatwić codzienny trud, stanowiła kość niezgody, której Partia zupełnie nie miała

Denerwowała mnie tolerancja tzw. układów, wzajemnego pokłasku. Bardzo często na licznych zebraniach i naradach partyjnych występowałem z ostrą krytyką błędów. Co przez to zyskałem? Wielu wrogów. Mówiłem w oczy, co myślałem. Na pewno nie jest to wygodna metoda postępowania, ale taki mam charakter i już się nie zmienię.

Byłem i jestem wymagający wobec siebie i innych. Rekomendując człowieka do Partii musiałem znać go „od podszewki”; od strony pracy zawodowej i nawet życia osobistego. Jeżeli byłem pewny swojej opinii, popierałem wniosek. Zawsze wyraźnie zaznaczałem kandydatowi, że przynależność partyjna to nie furtka przywilejów, lecz przede wszystkim obowiązki. Gdy miałem do czynienia z ludźmi chwiejnymi, niezdeterminowanymi, nie sprawdzonymi, uważałem za swój moralny obowiązek powiedzieć o tym na zebraniu. Czułem się poniżony, gdy nie słuchano mego głosu.

Jaki był efekt lekceważenia kryteriów członkostwa? Do przewidzenia. Po Sierpniu '80 rosły stosy oddanych

nalizowanie problemów społecznych, przez reakcję na zło i niesprawiedliwość, ofiarną pracę, poszanowanie ludzkiej godności. Członkowie Partii nie mają prawa żądać przywilejów; muszą pamiętać o swoich obowiązkach, jakie narzuca im posiadanie legitymacji, a z tym łączy się ściśle sprawa kryteriów członkostwa. Musimy dokładnie wiedzieć, kogo przyjmujemy. Ja stawiam kilka warunków: skrzystalizowane przekonania, autorytet moralny i zawodowy, zdecydowanie, odpowiedzialność, umiejętność analizowania sytuacji, obiektywizm, skuteczność działania. W tym roku kilku mieszkańców gminy wyraziło chęć wstąpienia do PZPR. Szczegółowo przedstawiłem, czego od nich oczekujemy. Nie będę ponaglać. Muszą zastanowić się, aby z pełną świadomością mogli nosić legitymację partyjną.

Funkcja I sekretarza jest trudna, ale skoro już się tego podjąłem, chcę swoje obowiązki wykonywać sumiennie. To stanowisko wymaga szczególnego wyczulenia na sygnały środowiska, właściwej interpretacji

nie stać z boku

legitymacji partyjnych. Odeszli ludzie przyjmowani kiedyś za obietnice, oczekujący korzyści. Ale Partia straciła też wielu wartościowych, światłych członków, którzy poczuli się oszukani. Zależało mi na tym, żeby zostali.

Staralem się przekonać ich, że proces odnowy wiele zmieni, a my jesteśmy po to, aby naprawić wszelkie błędy. Wielu członków gminnej organizacji zamiechało oddania legitymacji i są dzisiaj wśród nas. To mój osobisty sukces. Oczywiście, mamy też i takich, którym nadał wszystko jedno: są bierni, reprezentują postawę oczekiwania, nie z siebie nie dają. Zupełnie tak, jakby obowiązki partyjne ich nie dotyczyły. Często z nimi rozmawiam. Zwykle nie mają przekonujących argumentów, poza oklepanym, że „się zawiedli”. Oddają legitymację i teraz. To, moim zdaniem, bardzo dobrze. Wolę pracować z niewielką grupą aktywnych niż z liczną, ale wiecznie nastawioną na „nie”.

Przykład z ostatnich dni: przyszedł do Komitetu 22-letni chłopak, pomachał mi przed nosem legitymacją i powiedział, że on się z Partii „wypisuje”. Poczulem zapach alkoholu, więc uznałem, że w tej sytuacji nie ma sensu żadna dyskusja. Sam jednak podał powód swojej decyzji: zapłacił karę na kolegium, a nikt z PZPR go nie obronił. Rozmieszyło mnie to, ale jednocześnie przeraziło.

Wobec sierpniowych zarzutów nie czułem się winny. Mam czyste sumienie. Zrobiłem wszystko, co możliwe. Na pewno mogłem więcej, ale w pewnych sytuacjach ogarniało mnie poczucie rezygnacji. Mówiłem sobie: po co się tak szarpiesz? Przecież i tak niczego nie zmienisz. Ale mimo wszystko dalej wierzyłem, że prawda i rozsądek prędzej czy później muszą zwyciężyć.

PZPR lat osiemdziesiątych to organizacja zupełnie nowa. Dostrzegam głosy, reakcje społeczeństwa, bierze pod uwagę sady obywateli bezpartyjnych. Tego mi kiedyś bardzo brakowało. Nareszcie PZPR jest partią nie masową, a partią mas, wobec których pełni rolę służebną, a nie tylko egzekwującą. Uparcie wierzę i wierzę, że idzie na lepsze, i dlatego m.in. od 1 marca 1982 podjąłem się pełnienia funkcji I sekretarza KMG PZPR w Goniądzu. Wiedziałem, czego oczekują ode mnie mieszkańcy, znani mi trochę, ponieważ pochodzę z tych stron. Obawiam się tylko, czy potrafię nawiązać z nimi kontakt, czy zdobędę ich zaufanie, czy mnie zaakceptują. Zależało mi szczególnie na pozyskaniu bezpartyjnych. Uważam, że społeczeństwa nie wolno dzielić na członków organizacji i nieczłonków. To jest podział sztuczny i zupełnie nieżyłowy. Jeżeli nasz towarzysz chce się wyróżniać w swoim środowisku, droga jest jedna: przez syg-

zawisk społecznych — zarówno tych o szerokim zasięgu, jak i tych zupełnie drobnych, ale utrudniających życie. Muszę wykazywać takt i oporność, a w trudnych chwilach — nawet zmusić się do uśmiechu. Nieraz trzeba reagować ostro. Nie boję się narazić komuś, jeżeli jestem przekonany o słuszności swojego postępowania i jeśli wymaga tego dobro społeczne.

Widzę wyraźnie, że Partia odzyskuje stracone kiedyś zaufanie. Świadczy o tym fakt, że do Komitetu przychodzą ludzie oczekujący pomocy lub rady: ze skargami, interwencjami. Bardzo często szukają we mnie powiernika w sprawach osobistych, i to sprawia największą przyjemność. Czuję, że jestem potrzebny. Niedawno jedna z mieszkanki z placem przedstawiła mi tragiczną sytuację rodzinną, której główną przyczyną był mąż alkoholik. Rozmawiałem z nim zupełnie szczerze, po męsku, raz, drugi, trzeci. Poskutkowało. Widocznie coś znaczą w jego oczach, skoro się zmienił. Największą radość sprawiła mi ta kobieta swoim podziękowaniem. Czułem się zmieszany, ale jednocześnie — szczęśliwy.

Rola sekretarza nie polega na siedzeniu za biurkiem i dlatego jestem trudno uchwytny w Komitecie. Ludzie zaczepiają mnie na ulicy, zwierają się ze swoich problemów. Środowisko Goniądz i gminy jest zróżnicowane, ale są to ludzie ambitni, wiedzą, czego chcą, znają potrzeby miasta. Wśród takich obywateli pracuję się z ochotą. Dużą satysfakcję sprawia mi współpraca z ZSL-em, z działaczami PRON-u, który — nie zawaham się powiedzieć — jest najprężniejszym w województwie łódzkim. Naszym wspólnym osiągnięciem jest założenie Spółdzielni Mieszkaniowej i Zakładu Gospodarki Komunalnej, budowa wodociągu, reaktywowanie Liceum Ogólnokształcącego, modernizacja i naprawa dróg lokalnych. Gdy ktoś czeka z założonymi rękami i opowiada, że nic się nie zmienia, nich nie liczy na cud. Gadaniem niczego jeszcze nie zbudowano.

Mówiłem nawet, gdy było źle: „Dziś jestem sam, ale jutro będzie nas dwóch, potem trzech itd.” Jeżeli zrozumiemy się nawzajem, to nasze wspólne działanie musi przynieść pożądany skutek. Społeczeństwo oczekuje od Partii pracy efektywnej na każdym kroku, a PZPR ocenia na jest przez to, co robi każdy jej członek. Ludzie garną się z inicjatywami i tej szansy nie wolno nam zmarnować.

Zygmunt Klepacki jest I sekretarzem KGM PZPR w Goniądzu.

NOTOWAŁA
GABRIELA SZCZESNA

Fot. GABOR LÖRINCZY



znano go jako człowieka uczulonego na krzywdę. Tę wrażliwość przekazywał nam w rozmowach, w przykładach swojej pracy dla innych. Jego zdaniem — Polska Ludowa, o którą przelano tyle krwi, powinna być prawdziwym domem. Matka do dziś mówi mi, przy każdej okazji: „Jesteś wykupany ojciec”. Skoro tak mnie ocenia, to chyba mogę o sobie powiedzieć, że wiem, co stanowi o prawdziwej wartości człowieka. Nie wyobrażam sobie obojętnego przechodzenia obok bolesnych spraw i mówienia, że jest się członkiem Partii.

Motywy rodzinny był jednym z decydujących o moim wstąpieniu do PZPR. Towarzyszyło temu przekonanie, że każde działanie zbiorowe wymaga zorganizowanej formy; należy się zjednoczyć, aby cokolwiek osiągnąć, aby zrealizować jakiś cel. Poza tym kierowała mną emocja, typowa dla młodzieńczego wieku: chciałem coś robić, nie stać z boku, być razem z rówieśnikami. Organizację partyjną wyobrażałem sobie wtedy — ech, te młodzieńcze marzenia — jako zbiorowisko ludzi prawie idealnych, niemalże aniołów, ogarniętych pasją stałego zmieniania życia na lepsze. Byliśmy przyjmowani niechętnie, z nieufnością, na dystans. Z początku nie mogłem zrozumieć, dlaczego.

Pod koniec lat sześćdziesiątych wyczuwałem antagonistyczne nastroje w kraju, które były reakcją na formy pracy partyjnej: podejmowanie sprzecznych ze Statutem decyzji,

zamiaru rozstrzygnąć. Więc jak chciała zdobyć autorytet?

Zawsze twierdziłem: najdłuższy łańcuch składa się z pojedynczych ogniw. Gdy jedno pęknie, wystarczy, aby dwie jego części były bezużyteczne. Tak samo jest w życiu. Sygnały płynące od ludzi przekazywałem wyżej, ale nie docierały tam, gdzie powinny. Ginęły po drodze. Odrzucanie się góry od dołu było coraz bardziej widoczne i budziło powszechne niezadowolenie. Partia zapominała o swojej podstawowej roli służenia społeczeństwu. Rozbudowywała swoje szeregi o ludzi zupełnie bezwartościowych, na zasadzie: „Wpadł do PZPR, dostanieś to i to”. Nieważne, co kto robi, co sobą reprezentuje, tylko: czy jest partyjny. Było to szczególnie widoczne przy obsadzaniu kierowniczych stanowisk.

Jeden z moich współpracowników po to wstąpił do PZPR, aby dociec awansu. Niestety, brak predyspozycji dał o sobie znać bardzo szybko. Nie sprawdził się i został odwołany. Wtedy pokazał swoją twarz. Sympatyczny na Partię gromy, ironiczne uwagi. Atakował zawzięcie to, czemu wcześniej przytakiwał. Wprawdzie nie wystąpił z organizacją, ale jego postawa przekreślała go w moich oczach całkowicie. Człowiek zmieniający swoje przekonania tylko dlatego, że doznał porażki, nie zasługuje na bycie członkiem PZPR.

Moje zasady moralne nie pozwalały na bierne przyglądanie się złu.

Kontakt



ŚMIETNIK

List do zakładowego

Każdy człowiek ma swoje marzenia: duże, małe, realne i zupełnie niemożliwe. Każdy z nas ma też własną definicję szczęścia. Te dwa pojęcia są często łączone. Dla wielu ludzi w naszym kraju zawierają się w określeniu „własne mieszkanie”, najlepiej w nowoczesnym bloku, w zieleni, kwiatkach, wśród życzliwych sąsiadów i dzieci nie tłukących szyb, obok nie szczekających psów, czyli w środowisku cechującym się kulturą współżycia.

Przedemną perspektywą dziesięciu lat oczekiwania na własne szczęście, czyli dach nad głową. Już teraz wyobrażam sobie, jak będę skakać z radości, a potem — z innymi mieszkańcami — sadzić pierwsze drzewka, krzewy, a może nawet herbaciane róże?

Gdyby jednak już dzisiaj zaproponowano mi mieszkanie w Waszym osiedlu, powiedziałbym: nigdy! Miałbym mieszkać w takim śmietniku? Nie rozumiem, jak tam żyć i odpoczywać.

Tereny dawnego trawnika pokrywają stare gazety, puszki po konserwach, jakieś szmaty, butelki, czyli śmieci. Wśród nich chwieją się rachityczne drzewka, spełniające rolę bramek, a z każdym golem ubywa im życia. W bajorku na parkingu pluszczą się małe dzieci. W



kwietnikach rosną chwasty wyższe od niejednego polamanego krzewu, dookoła stoją podziurawione metalowe kosze i polamane tablice informacyjne. Śmietnik, do którego nie warto dochodzić, bo za daleko, otoczony jest „dobrami” z Waszych kubelków.

Wchodzę do pierwszej klatki schodowej. Drzwi się nie domykają, ba, ledwo wiszą na jednym zawieszce, bez szyby i z wylamaną klamką. Ściany mają poodpryskiwany tynk i są wymazane węglem, smołą, kredkami, noszą ślady odbijanej piłki. Z wyrwanego kontaktu zwisają smętnie przewody, po kaloryferach została tylko ciemna plama.

mieszkańców osiedla „Narew”

Drzwi do piwnicy, równie zdewastowane, jak wejściowe. Rozgniatam butem resztki potłuczonej żarówce i... nie wierzę własnym oczom: śmietnik podręczny mieści się właśnie tutaj! Z odrazą wpatruję się w ten niezwykle widok. Są tu nawet stare, wystużone dziecięce wózki, buty, resztki jedzenia i inne odpadki. W kącie mignął mi ogon myszy; odkrywam też gniazdo karaluchów. Szczurów nie zauważyłam, ale jeśli ich jeszcze nie ma — na pewno trafią tu lada chwila, choćby przez wybite okienko.

Wychodzę z nadzieją, że w sąsiednim bloku jest inaczej. Tłumaczę sobie ten obraz chwilową słabością lokatorów klatki. Zaglądam do budynku C, D... Tracę złudzenia.

Skądinąd wiem, że jeśli człowiek przebieje się przez ten podwórkowo-klatkowy brud i zapuka do niektórych drzwi, znajdzie za nimi dbałość, kulturę, porządek. W mieszkaniu to normalne, bo to jest własne. A tereny za oknem? Oczywiście nieczyje. Czy aby na pewno?

Choćbyście nie wiem jak pieścili Wasze kąty, wygląd osiedla i tak wystawia Wam naganną opinię, bo jakże można żyć w takim otoczeniu?

MAŁGORZATA AREL
ŁÓDŹ

Fot. GABOR LORINCZY

niech żyją
ryby!

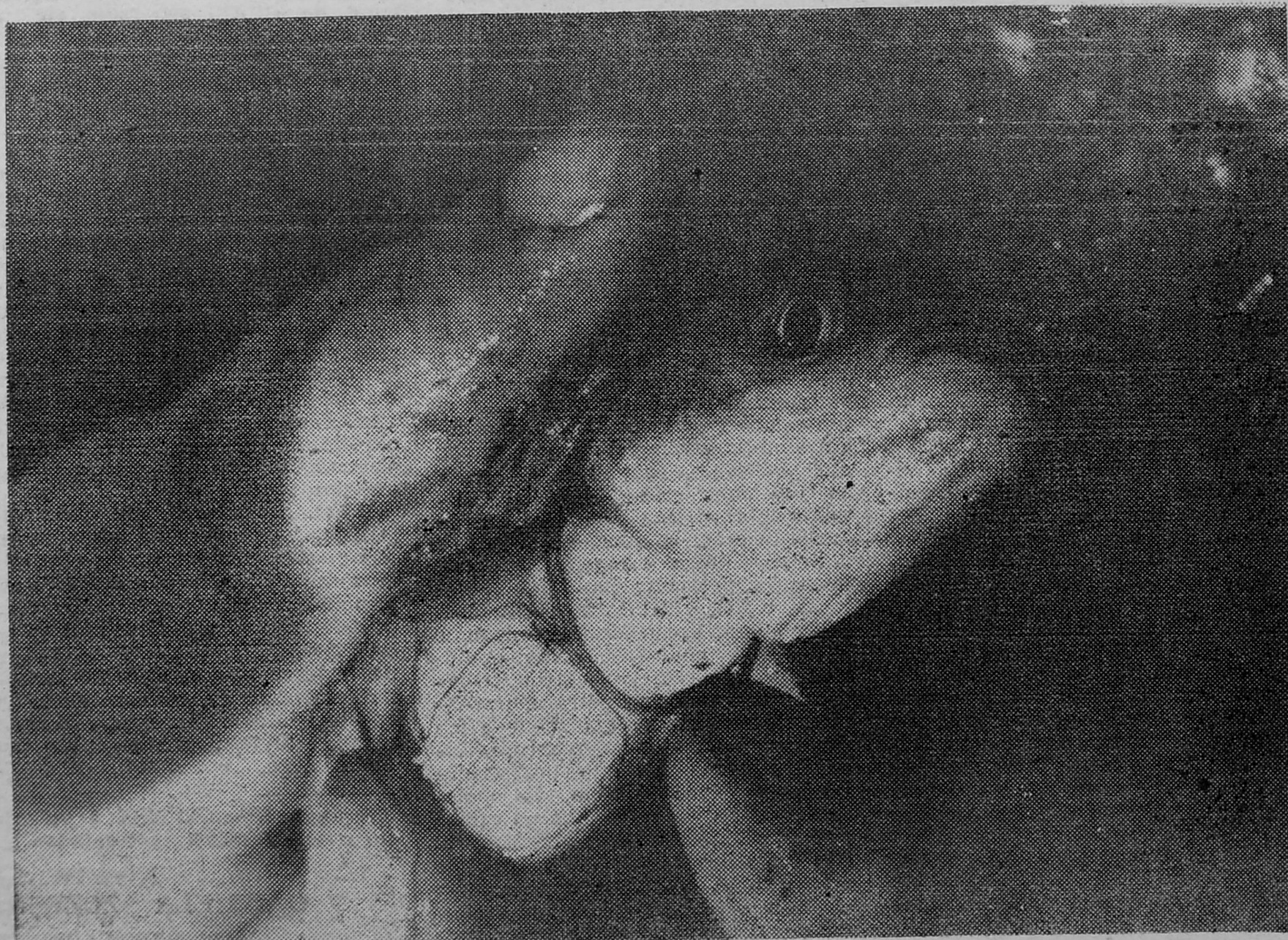
Łomżyńscy klusownicy protestują przeciw zmniejszającym się połowom! W ich sieciach, gantach, kloniach, a nawet na ościennych gości wciąż malejąca ilość ryb, a do tego coraz drobniejszych.

Apelują zatem do sumień etatowej i honorowej straży Polskiego Związku Wędkarskiego: „Walczyć z chemią na nadrzecznych łakach i z przemysłowymi zatruciami wód”. Pas ochronny powinien wynosić siedem kilometrów; tylko tam, gdzie wysoki brzeg nachylony jest w stronę łądu, można go wyjątkowo zmniejszyć do 700 metrów.

Kategorycznie żądają, by członkowie PZW regularnie dokarmiali ryby, bowiem małe i cherlawe sztuki łatwo wyslizgują się z — i tak już niewielkich — oczek sieci.

Od prezesa PZW domagają się ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii połowów w czasie tarła linów, szczupaków, leszczy, płoci i okoni. Jedni twierdzą, że trzeba tak postawić sieci, aby wchodziły do nich tylko samce; inni się temu kategorycznie sprzeciwiają, bowiem nie dowierzają inteligencji samicy. Klusownicy chcieliby na pewno wiedzieć, czy opanują one swoją chuch i nie wepchną się za partnerami do sieci.

Z rybami, niestety, nie udało mi się tego wydebatować, choć wydawałoby się, że to im właśnie powinno zależeć najbardziej na podtrzymaniu gatunku. A zatem do dzieła, strażnicy i ochraniające polskich wód. Ryb ma być mnóstwo, i to okazałych!



kontakty kontaktów

Dziękuję za opublikowanie w „Kontaktach” artykułu na temat Muzeum Weterynarii mam nadzieję, że nie będzie to ostatnia publikacja propagująca tę placówkę. Jednocześnie chciałbym przekazać swe uwagi na temat tego artykułu. Rozumiem potrzebę skrótów i poprawek stylistycznych. Jednak tak olbrzymi skrót, jaki zastosowała redakcja, spowodował, że tekst, który został wydrukowany, nie oddaje tego, co prezentuje Muzeum Weterynarii. Z drugiej strony doprowadził do kilku niejasności, za które obwiniona zostanie osoba pod nim podpisana. Istnieje dobra zasada, że wszelkie zasadnicze zmiany tekstu są uzgadniane z autorem.

Będąc stałym czytelnikiem „Kontaktów”, życzę redakcji dobrych pomysłów i powodzenia w dalszej pracy.

LEŃ WET. JERZY JASTRZĘBSKI
KIEROWNIK
MUZEUM WETERYNARII

Obecnie przebywam na leczeniu w Białymstoku. Tu przypadkowo przeglądałem 17 numer „Kontaktów”. Szczególnie zainteresowałem się rubryką „Kontakty „Kontaktów” i listem pana Juliana Kozłowskiego z Łomży, ponieważ byłem naocznym świadkiem opisanego tam zdarzenia. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jego przebieg był trochę inny.

W domu poszkodowanej ukrywałem się przed wywiezieniem do Niemiec. Tego pamiętnego dnia siedzieliśmy razem na ławce przed domem. Właśnie zaczął się artyleryjski ostrzał Łomży. W momencie, gdy mieliśmy udać się do domu, rozewał się w pobliżu nas pocisk. Razem upadliśmy na ziemię. Ja nie miałem żadnych obrażeń, ale Wanda została ugodzona odłamkiem w kolano. Wniósłem ją do domu, na nogę założyłem jakąś opaskę uciskową i pobiegłem po felczera Cezyka. On założył chorej opatrunek i poleciał przewieźć ją do szpitala w Łomży. Już nie pamiętam, w jaki sposób pan Wacław Bogucki zorganizował furmankę, na której ranną zawieźliśmy do szpitala najpierw przy ulicy Senatorskiej, a później do szpitala przy Świętego Duchu. Kiedy znosiliśmy dziewczynę z wozu, zauważyliśmy, że doktor Pruszyński prosi Niemców, by nie niszczyli szpitala. Nie wiem, czym ich przekonał. W szpitalnej piwnicy było bardzo dużo rannych. Tam opatrzone rany naszej pacjentki i ponownie zawieźliśmy ją do domu. Dalszych losów rannej nie znam, gdyż wieczorem tego samego dnia przedostałem się do rodziny w Łomży.

Do napisania tych kilku słów skłoniło mnie apelowe zakończenie listu pana Juliana Kozłowskiego.

KAZIMIERZ KALINOWSKI
UL. TARKOWSKIEGO 3
PISZ

Zupełnie przypadkowo wpadł mi w ręce 25 numer tygodnika „Kontakty”, który przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Ponieważ od pewnego czasu interesuję się twórczością Heleny Mniszkówny, proszę o umożliwienie mi nabycia poprzednich numerów pisma, w których były drukowane pierwsze cztery odcinki jej powieści.

Dzięki uprzejmości kioskarki kolejne numery „Kontaktów” będę otrzymywał systematycznie. A wracając jeszcze do 25 numeru tygodnika, to bardzo podobały mi się rysunki zamieszczone na ostatniej stronie pisma.

ALEKSANDER SZOSTAK
GDYNIA

interwencje



Przyszedł tu, moi drodzy, zgodę zrobić między nami. Stary, wyciągał szkło! Po co mają nas na zębach nosić, lepiej obalić połówkę. Nie chcę, żeby mnie nazwali kłótnicą, a że matka zdziwiała i coś tam durdała, nie musicie się przejmować. Ja tam jestem taka, że chcę z wszystkimi dobrze, nie, stary? Zwłaszcza z tymi, którzy mogą coś pomóc, załatwić albo... zaskodzić. Mnie tu znajomi (z tego domu za zakrętem) chcieli podawać do sądu. Za świadka Bili się, rozwodzili, aż się ludzie naokoło śmiali. A gdzie tam poszłam! Powiem na jedno, to drugie będzie mieć pretekst. Prawdę? A gdzie dzisiaj jest prawda? Każdy mówi i robi, jak mu pasuje. Tam, gdzie miało być niebo, odkrywają Kosmos, to i ludziska przebiegają uszami.

tak, jagód było mnóstwo, grzybów też. Wszystkiego jakoś dawniej było więcej... Może i radości, bo w zimowe wieczory na pogawędki się schodzili, a dzisiaj wszyscy w domu siedzą. Ee, gdzie tam siedzą! Każdy zagoniony jak pies, na nic czasu nie ma.

Ładny ten kwiatek, tfy, tfy, na psa urok. Nie wierzy pani w uroki? Ja tam wierzę, a nawet w zadania. I w rękę. Jak kto łapę złam, nic się od niego chować nie będzie. No, jak nie wierzyć, kiedy przy mnie odczyniała; pokrzywy polala czerwonym mlekiem, położyła na blasze rozpalonej i powiedziała: „Teraz ta, co zrobiła, musi po coś przyjść, bo ją będzie strasznie piekło”. I co pani powie? Przyszła pożyczyc nafty. A na drugi dzień krowa normalne mleko dała!

Wypijmy! Nie, rzodkiewki nie lubię, palaca. Kupować kupuję, bo to modne i dzieci się czasem upominają. No i ładne z nią kanapki. Oj, jakie widziałam piękne przyjęcie imieninowe. Tak facetka umiała udekorować stół! Jakies pianki, kolorowe pasty, muchomorki... Nieważne? A cóż ważniejsze dla kobiety, jak nie przyjmowanie gości? „Pojesz, popić, pogłować, musi bieda pofolgować”, nie, stary? No, właśnie, kryzys...

U nas tam różnicy wielkiej nie ma — dawniej a dziś. Tak samo trzy kilometry do przystanku, po pracy dom, dzieci, działka, urlop na malowanie mieszkania, na żniwa, bo przecie tej półtorej morgi piaschu nie ma komu sprzedać. Dam to za darmo? Tak samo nas na to wszystko nie było stać, toteż jak

słysz: „Przejeżdżamy pożyczki, szastaliśmy pieniędzmi” — wszystko się we mnie przewraca. Niech tu przyjdzie i stanie mi do oczu ten, kto do winowajców zaliczył mnie, która nigdy lupiny z ziemniaka nie zmarnowała i skorupki z jajka nie wyrzuciła. Ja nie rozumiem: jeden się naharował, drugi naużywał i nakradł, że będzie miał do czwartego pokolenia, a teraz niby sprawiedliwość: obaj dostaną po równo. To tak, jak mówił pewien palacz: „Palimy najpierw twoje, a potem będzie każdy swoje”.

Ojej, niechże pani nie blokuje szkła, nie wolno się wyłamywać. Kto dzisiaj nie pije? Ciężko chorzy i dzieci. Co ja mówię: w podstawówce już ciągnął! I jeszcze te narkotyki... Prawdę pisała Saba, że człowiek będzie niewolnikiem tego, co sam stworzy. I nie tak jest? Wczoraj facet się wyzalał: „Jak to jest, że taki pijak S. ma dziewięćdziesięciu dzieci, z czego czworo na państwowym garnuszku, za który w znacznym stopniu płacę ja, za karę, że mam tylko jedno dziecko, choć mógłbym mieć piątkę, ale nie chciałem im obniżać stopy życiowej. No to S. ja i tak mojemu dziecku obniżył. Hasło jeden za wszystkich, wszyscy za jednego trzeba zmienić na każdy za siebie, inaczej zawsze będzie przybywać synów marnotrawnych, i nie tylko synów”.

Rolnik dwuzawodowiec, jakich prawie 100 proc. w naszej gminie, wyliczał: „Fura obornika — 4000, godzina orki — 300 złotych, obredlania — tyle samo, nawozy sztuczne powyżej tysiąca, tak samo kwintal sadzeniaków, dochodzi jeszcze preparat przeciw słońcu, sadzenie, kopanie... A fura ziemniaków minus ubytki zimowe z przechowania — 5000 złotych. W pomyślnym roku pracujemy przy ziemniakach za samo słowo „nasze” i radość patrzenia na proces rozwoju roślin, a przy niesprzyjającej pogodzie trzeba dołożyć z pensji. Gdybym to komuś dał w prezencie, byłby mi chociaż wdzięczny i nisko się kłaniał; gdybym przehuł, miałbym miłe wspomnienia...” „Ale — dorzucił inny — przy hulaszczym trybie życia moglibyście chorobę jakąś załapać, a praca konserwuje, uszlachetnia... Jak się panu ziemniaki nie opłacają, to sadz pan szparagi”. Czyste kpiny, bo wiadomo: ziemia V i VI klasy jałowa jak kolacja pustelnika.

Oj, dobrze, że ja się wcześniej wyzwoliłam z tego jarzma. Już w podstawówce, gdy zaczęłam się orientować, jak wygląda prawdziwe życie, zaczęłam się przyjaźnić z takimi, których rodzice gdzieś pracowali. Dowiedziałam się, że fabryka potrzebuje ludzi. Byłam rosłą, zręczną, zauważono również mój gorący zapał, no i załatwiło się jeszcze przed pełnoletnością. Ze w hali stukot maszyn? No to co? Ale maszynę ustawie, jak chcę, nie ucieknę mi w las, nie pociągnie na łańcuchu przez błoto, zarośla, nie zrobi ogonem maseczki kosmetycznej. Może skaleczyć? To trzeba uważać. A w lesie mało os, szerszeni, żmij, dzikich kotów, psów? Skąd? Wywożą do lasu małe kotki i szczeniata, jak ich za dużo, żeby nie mieć grzechu za zabójstwo. Raz spotkałam cztery takie prawie szkielety. Jeszcze żyły.

Po śmierci ojca matka przeniosła się do mnie. Ee, co tam pomoże, tyle co w domu, bo chodzić nie da rady. Ale i to dobrze, bo kiedy maturę robiłam (już jako matka dzieciom), miałam głowę spokojniejszą. Nie, nie było mi łatwo, choć w pracy chwalili, że jestem zdolna. Najgorzej z językami, matematyką... Ale pilnowałam sprawy, bo to zawsze i pensja wyższa, i poważanie inne. Dzieci mam wszystkie teraz w szkole. Nie będą się wstydzić matki, że ciemna. A one świadome! Jeszcze ojców demoralizują.

Mojej koleżanki syn dopiero w szkole się brzydkich słów nauczył, a córka — palenia papierosów, bo w domu u nich tego nie było. U drugiej znowu córka wyprosiła matkę z pokoju, i to jakimi słowami. Wyszła, bo się obawiała, że córka ją uderzy przy koleżankach. Słyszane to rzeczy? Mówię jej: zerznięłabym smarkuli tyłek, nie kupowała ciuchów, zaganiała do nauki! Aha — ona na to — i ucieknę z domu na poniewierkę, milicja gdzie złapie, zamknie, ludzie będą psy wiejsze, a przecież to dziecko. Albo się zemści: okradnie, podpali. Takie to czasy. W ogóle — trudne czasy.

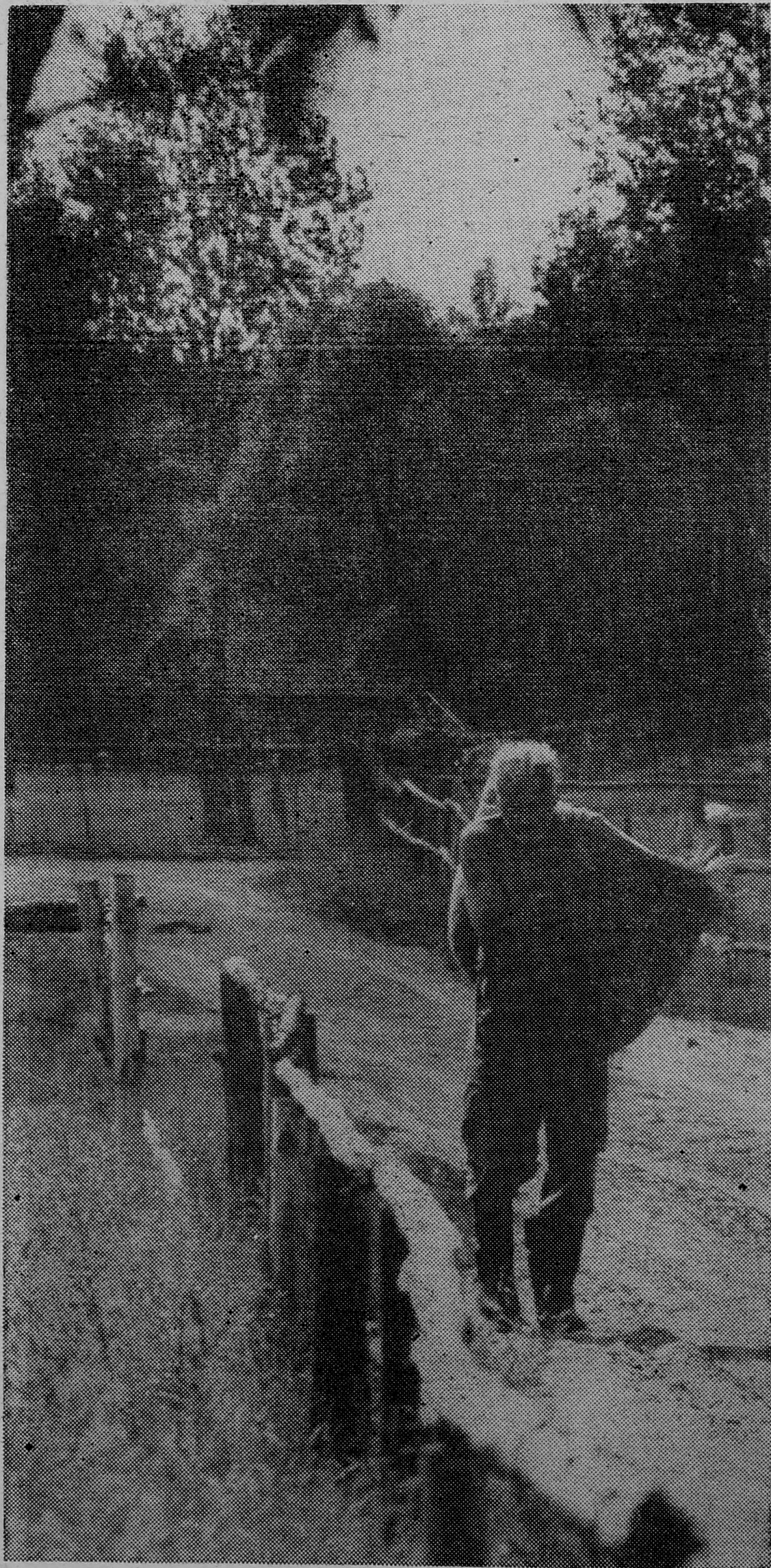
No, stary, zbierajmy się! Posiedzieli, pogwarzyli, na trzy fury by tej gadki nie zabrał.

Fot. GABOR LÖRINCZY

ZOFIA DRÓŹDŹ

takie czasy

W związku z sezonem urlopowym jury konkursu „Jagusia'83” zbierze się dopiero na początku września 1983 r. Do tego czasu będziemy publikować te z nadesłanych tekstów, które — przez niespełnienie warunków treściowych lub formalnych — zostały wyeliminowane z konkurencji już we wstępnej selekcji.



obyczaje



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

W końcu Franuś bumagę podpisał, ale ma za to przekabacenie żal do sąsiadów, bo przez nich stał się — tak samo, jak oni — mądry dopiero po szkodziu.

Poszedł więc do Gminnego Ośrodka Kultury, miejsca wszystkich ważniejszych we wsi zebrań, przed którym dopalali papierosy przedstawiciele Gminnej Spółki Wodnej, Wojewódzkiego Związku Inwestycji Rolniczych, gminnej służby rolnej. Miał również dojechać szef Zarządu Wojewódzkiego Spółek Wodnych. Chłopi spoglądali w stronę gości i od razu komentowali lukę w składzie personalnym: — Modelewskiego nie będzie? Wyczuł pismo nosem! A szkoda, bo byśmy mogli zdrowo pogadać. Dużo mamy sobie do wyjaśnienia.

Z początku wydawało się, że zebranie nie wyjdzie. Chłopi podparli brody i oczami szukali pierwszego mówcy; ci spod pieca patrzyli na tych spod sceny, ci spod sceny liczyli na siedzących w fotelach, którzy przybyli tu czterdzieści minut wcześniej. Marta Bielicka chętnie zabrałaby głos, ale nie chciała wyrwać się na początek. — A co to — mówiła do sąsiadki — tyle chłopów przyszło, a ja mam za nich językiem obracać? — Atmosfera pęczniała od hamowanej złości.

Oto w Grądach Woniecku, równie wsi przyrzecznej, gdzie melioracja była przeprowadzana w tym samym czasie, przymierzają się już do drugiego pokosu siana, a oni jeszcze nie weszli na łąki. Ba, niektórzy nawet krowy muszą trzymać w oborach, bo gdyby wypędzili, diabły na topieliskach miałyby nie małą ucztę. Nawozów także nie da się posiać, bo kto będzie worki nioś? kilkadziesiąt metrów, gdy człowiek bez obciążenia zapada w bagna po kolana. Spółka Wodna miała dbać o mostki, przepusty i rowy, a gdyby głównego dojazdu nie wykonali w czynie społecznym, na co przeznaczyli aż trzy dni, nie byłoby nawet tego. Mostki niby są, ale kto przez nie przejedzie. Pniewscy gospodarze kładą gałęzie pod koła i worki z piaskiem; jednemu się uda, a drugiemu fura staje do góry kołami.

Najbardziej niecierpliwi pisali do władz podania, na które nie było odpowiedzi. Największy sukces odniosła Bielicka: podanie napisała na wiosnę, a komisja ściągnęła już późną jesienią! Oj, nagadała się wtedy Bielicka!

Ostatnio wielkie upokorzenie zawiśło nad pniewiakami: oto Spółka Wodna podniosła im składki o prawie 90 proc., czyli aż do 1100 złotych za hektar; ich delegaci wyrazili zdecydowany sprzeciw na Walnym Zebraniu Gminnym, zyskali też poparcie przedstawicieli innych wsi; jednak administracja nie uwzględniła zdania większości — odczytała wniosek do przekonsultowania. Delegaci rozjechali się do swoich domostw, a tu po kilku tygodniach napłynęły do wsi wykazy opłat, i to na wspólnej liście.

Sołtys na karteczce przymocowanej do drzewca napisał: „Na zaproponowaną składkę w wysokości 1100 złotych z ha w Pniewie delegaci nie wyrazili zgody. Wydano więc decyzję zatwierdzającą wysokość składki, którą otrzymał przewodniczący Gminnej Spółki Wodnej Ob. Wiśniewski Witold w miesiącu lutym. W ciągu dwóch tygodni nie wpłynęło odwołanie i nie powiadomiono ludzi o tym, wobec czego decyzja się uprawomocniła i wyżej wymienioną stawkę należy wpłacać od 1 czerwca, nie zwlekając”.

Każdy z tu przybyłych znał wysokość opłaty, ale jakoś nie mógł zapamiętać owej ogromnej sumy. Jedni więc kilka razy się o nią dopytywali, jakby nagle ogłuchli, inni tylko mocniej czapkę naciskali na uszy, uważając te decyzje za istną bzdurę. Utwierdziły ich w tym przekonaniu mylne informacje: na liście byli także ci, którzy dwa-trzy lata temu przekazali ziemię za emeryturę czy rentę albo poumierali.

— Jeśli mam płacić 1100 złotych z hektara zalanej łąki, z której nie zebrałem nawet garści siana — po krzyku Jan Grzanko — to sam wolę pary razy kosą machnąć, i to nawet bez kosidła!

podtapianie chłopa

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

Jan Szymański uważał tę meliorację za wielką pomyłkę zaraz po jej wykonaniu, w latach 1962—63, a więc w typowo mokrych. Główne prace odbiegały od planu, wykonawcy kopali rowy tam, gdzie nie było mokro. Tak więc najdokładniej odwodniony okazał się las, w którym coraz więcej suchych drzew. — Po cholerę nam to potrzebne? — wołał w kierunku stołu prezydalnego. — Skoro jednak urządzenia są, trzeba je konserwować. Ale wy tylko pieniądze brać potraficie!

Goście to opuszczali ręce, to wkładali je w kieszenie, to znów składali jak do modlitwy.

Jan Sienkiewicz, lokiem wsparty o parapet, nagle przerwał wypowiedź sąsiadowi i całą sprawę zaczął opowiadać od początku. Niektórzy chcieli mu przeszkodzić, ale on jeszcze bardziej podniósł głos: — Nie boja się przecież ich nie będę bił, ale muszę wygarnąć to wszystko, co nam nabałaganili. Chłopczy, trzeba dziś ustalić jedno: nie ustępujemy ani złotówki. Za to barachło nie powinniśmy zupełnie płacić.

— Niegrzecznie zaczął, ale dobrze mówi — ktoś skomentował szeptem, ale tak głośnym, żeby wszyscy słyszeli.

Po kilku błyskotliwych zdaniach Sienkiewicz znowu zaczął się powtarzać, więc Kazimierz Wiśniewski nie wytrzymał dłużej: — Melioracja na naszym terenie nie funkcjonuje tak, jak potrzeba. Rzeki Jabłoń i Gać razem wpadają do Narwi. Tereny zambrowskie i wysokomazowieckie są położone wyżej niż Pniewo. System odwadniający wciąga wodę na nasze ziemie i tworzy zbiornik. Pamiętam, jeden z projektantów, Trzepak się nazywał, chciał Gać i Jabłoń odprowadzić kanałem do Siemienia. I dobrze by zrobił. Ale on, biedny, umarł; wówczas przyjechał z Białegostoku sekretarz Kudła i jeszcze się na nas rozniewał, gdyśmy mu ten projekt przedstawili. Powiedział, że to już i tak za drogo kosztuje, i zmeliorował górę Narwi: od Biebrzy do Rzędzian. Nasze łąki z sianem diabli wzięli!

Jeszcze Wiśniewski nie dokończył, a już wstał! Kazimierz Piaśnik: — Dopóki nie uregulujecie dołu Narwi koło Pniewa, Rybna, Siemienia, Czartorii, my możemy sobie jeździć do ministra, wojewody, płuć na Spółki Wodne, i tyle naszego, co pogardzamy. Każdy pieniądz wyrzucimy do tego czasu w błoto. Niech przynajmniej wykonawcy przyjadą i wyjaśnią, dlaczego nie trzymali się planów.

— Poczekaj, jak do ciebie przyjadą i ci wytłumaczą! — cała sala zatrzęsa się od śmiechu.

Widząc, że debata znów rozlaży się po kątach, do głównego tematu spotkania powrócił sołtys: — Tu nie chodzi o to, byśmy się tak ładnie śmiali. Paszy w oborach za dużo nie

ma; dwie trzecie naszych pól to przecież łąki, a te są zamienione w mokradła. Ceny na maszyny i części zamienne idą w górę. Uważajcie, żebyśmy na jesieni nie musieli się smucić. Kiedyś mogły w Pniewie deszcze padać, ile sobie tylko chciały, a woda odchodziła rowami podstawowymi. Teraz melioracja zrobiona, Spółka opiekuje się rowami, a siana nie ma ani garści. Po co ta komedia odgrywa się na naszych oczach? Po co, panowie, udajecie, że w Pniewie wszystko jest w porządku, i większe składki każecie płacić? Aby wam zapłacić 1100, muszę gdzieś pójść na zarobek. Uważajcie, by przy tych preferencjach dla rolnictwa, jak to się ładnie mówi, nie doszło do efektów z lat pięćdziesiątych. Bo choćby po tej melioracji mogę wam powiedzieć, że tylko podtapianie chłopów! Delegaci na składki się nie zgodzili, ale wy i tak górą: „przeterminowało się”! Jeśli prawo jest krzywdzące, to chyba nigdy nie może być sprawiedliwe?

Jan Bielicki proponował odmulić Narew, Kazimierz Piaśnik odradzał regulację rzeki, by nie zalać Otroleki, Mittel opowiadał się za obkosem rowów przez samych rolników, Jan Szymanowski twierdził, że melioranci powinni wykopywać nie tylko rowy, ale i drogi dojazdowe, mostki oraz przepusty, pracował w tym rzemiośle 9 lat i dobrze pamięta, jak to się kiedyś robiło. — Ale wtedy — dodał na zakończenie — firma była firmą, nie zgraja obiboków, co to tylko na skraj łąki przyjadą, popatrzą, uwalą się gdzieś i przeleżą 8 godzin. Chłop i tak zapłaci! I za pracę, i za ubezpieczenie.

— Właśnie — podtapiał temat Kazimierz Wiśniewski — jak to jest z tym ubezpieczeniem. Nam się mówi, że składki dlatego muszą być wysokie, bo 43 proc. ściga ZUS, a przecież Spółka Wodna wynajmuje przeważnie chłoporobotników, którzy płacą ubezpieczenie w swoim gospodarstwie i w zakładzie. To oni potrójnie chorują, że im tyle potrzeba?

Z pytaniem czał się od dłuższego czasu Stanisław Sepczyński: — Czy za tereny nie zmeliorowane mamy też płacić?

Goście zanotowali pytanie, przejechali poprzednie, przygotowywali się do odpowiedzi, ale co któryś już się podnosił, musiał przysiąść, bo gospodarze wyciągali wszystkie bóle i kierowali je czemuś do Spółki Wodnej: dlaczego mleczarnia bierze mleko fioletowe, zamiast białego; co będzie ze sznurkiem; dlaczego drogi są wyboiste, jeśli SKR wziął pieniądze za robotę itp.

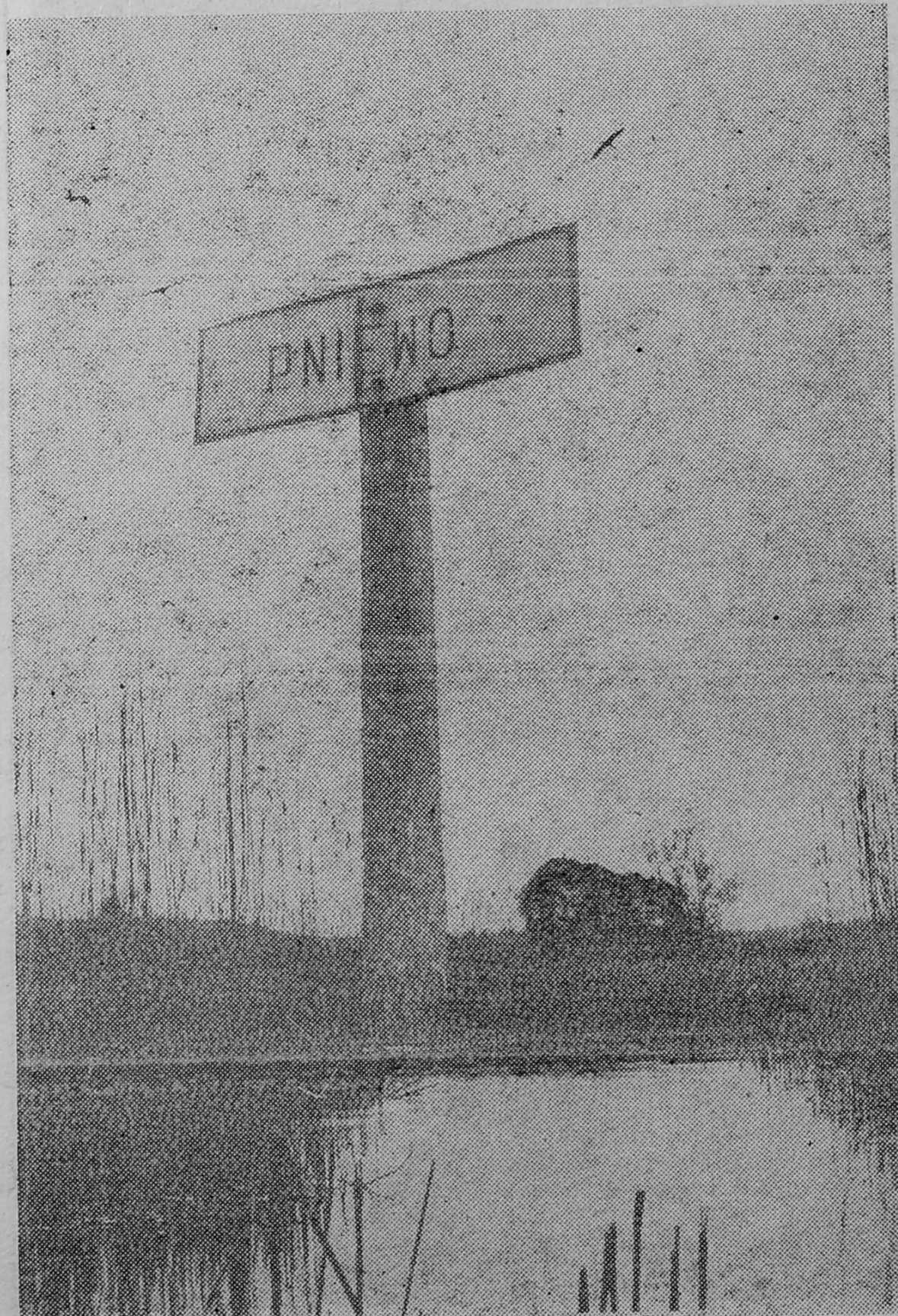
Wreszcie sala ucichła, bo coraz więcej osób chciało usłyszeć zdanie Witolda Wojtala, zastępcy dyrektora z Wojewódzkiego Związku Inwestycji Rolniczych: — Na niektóre tereny rzeczywiście wtedy nie dało się wejść. Musicie także zrozumieć i nas: przecież roboty coraz więcej, a pracowników mniej. Musimy ich dowozić nawet 60 kilometrów. Rocznie wwdatkujemy na meliorację 30 milionów złotych, a za co kupić paliwo do pojazdów, części zamienne, z czego wypłacać świadczenia socjalne? Dobrze, że w ubiegłym roku dołożyło nam państwo, inaczej już bylibyśmy bankrutami. Rzeczywiście składka wzrosła o prawie drugie tyle (1100 z hektara zmeliorowanego i 500 — nie zmeliorowanego), ale jeśli chcecie dobrej konserwacji, musicie nam więcej płacić. Pytacie, dlaczego tyle pobiera ZUS. Tyle sobie żączył. Interweniowaliśmy u dyrektora, nie ustąpił.

Wykład się przedłużał; niektórzy zaczęli się kręcić coraz widoczniej, dając mówcy do zrozumienia, że niewiele ich interesuje. Problem główny: dlaczego pniewscy chłopcy mają tak dużo płacić, jeśli melioracja na ich łąkach była niewypałem, dyrektor starannie omijał.

— Tak długo czekał, niech się wygada — skomentował Jan Sienkiewicz. — I tak nic z tego nie skorzystamy, bo już widać, że kręci jak diabeł, aby nas wyrolować.

Wreszcie któryś z pniewiaków nie wytrzymał: — To jak będzie z naszymi składkami?

Fot. GABOR LÖRINCZY



STANISŁAW ZIELIŃSKI: — O Spółkach Wodnych na wsi coraz głośniej; chłopci narzekają, że tylko pieniądze bierze, a na ich rowach jakoś roboty nie widać.

CZESŁAW MODZELEWSKI: — Celowo zaniżają efekty naszej pracy, aby udowodnić, że wtedy, gdy oni sami opiekowali się rowami, było lepiej.

— A było gorzej?

— Oczywiście. Trzech rowy obkosiło, czwarty nie i woda nadal nie mogła przepłynąć.

— W mojej wsi gospodarze rowy czyścili dwa razy w roku: wiosną i jesienią. Raz na dwa lata, zaraz po sianokosach, każdy musiał pogłębić korytowo rowu naprzeciw swojego pola. W sąsiednich wsiach było identycznie. Wy opiekujecie się rowami z urzędu, a są miejscowości, w których rolnicy na łaki nie mogą dojechać.

— Pan żartuje. Nasze służby wywiązują się ze swoich obowiązków bardzo skrupulatnie.

— Oczywiście, nade wszystko w pobieraniu pieniędzy.

— Proszę podać choćby jedną wieś, która miałaby do nas zastrzeżenia.

— Całe szczęście, że nie przyjechał Pan na zebranie do Pniewa. Gospodarze wychodzili z utęsknieniem...

— Nie byłem, gdyż spóźniłem się na umówiony środek lokomocji, a nie ze strachu, jak mi to pan próbuje wmówić.

— Niemniej tak to zostało odebrane.

— Pniewo to nietypowa wieś. Rzeczywiście melioracja tam nie wypaliła, bo najpierw należało uregulować Narew, a potem kopać rowy odprowadzające. Ale to się działo w latach sześćdziesiątych, a za tak stare błędy trudno dziś odpowiadać.

— Opiekujecie się jednak tymi urządzeniami, a one i w tej chwili są załuszczone, przepusty nie dokończone, mostki nie obudowane.

— Pan nie zna ludzi z Pniewa. Choćby im zbocza rowów nawet złotem wysypał, i tak będą płakać, bo to leży w ich naturze. Proszę spojrzeć na statystykę: mamy tam 44 kilometry rowów. Wszystkie co roku są odmulané, a ponad dwie trzecie konserwuje się gruntownie: 24,2 kilometra w 1981 roku, 33 — w następnym, 22 — w roku bieżącym. A zgodnie z rozporządzeniem powinniśmy czyścić tylko jedną trzecią stanu, to znaczy: 14 z kawałkiem. Co roku też odmulamy główny rów, zwany „maciorą”.

— Konserwujecie, odmulacie, tylko jakoś chłopci nie mogą tego dostrzec. W Wyszomierzu ścignęliście wodę z pół rolnikowi na podwórko i zostawiliście go z tym zbiornikiem przy drodze, aż mu sztachety w płocie pogniły i musiał pomyśleć o ogrodzeniu z siatki. W Mystkach Rzymie kładliście drewno dopiero w czasie żniw i zniszczyliście niekoszone łany zbóż. W tym roku do podobnych prac przystępowaliście w Łopienicach Jezach, a w maju i czerwcu nie robiliście nic. Nawet o rowach, które już tam są, zapomnieliście.

— Zapewne słyszał pan słowa Kościuszki, które lubi przytaczać nasz premier: „Nieraz trzeba poświęcić wiele, aby ocalić wszystko”. Chłopci chcą mieć zmeliorowane pola, a nam najlepiej pracuje się w lecie; wtedy pobocza rowów są suche, w korytarzach nie ma błota i zbyt wiele wody.

— A zatem melioracja za wszelką cenę?

— To prawda: zwykło się o nas mówić, że wtedy wchodzimy na pola, gdy zaczynają się żniwa. Nie robimy tego przecież specjalnie, lecz taki mamy harmonogram prac.

— Po interwencji chłopów u naczelnika gminy pozwalacie im jednak zbierać zboże z pola.

— Wtedy nie mamy innego wyjścia.

— A od razu o tym pomyśleć nie można?

— Rocznie meliorujemy 3—4 tysiące hektarów. Każdy chciałby, abyśmy nie naruszali jego pola; okres sianokosów i żniw to przecież prawie trzy miesiące, a my musimy się spieszyć: zmeliorowaliśmy już 106 tysięcy hektarów, ale mamy przed sobą 120 tysięcy. Ponadto jesteśmy tylko ludźmi i też popełniamy błędy. Zawsze jednak po interwencji staramy się je naprawić.

— O tej naprawie marzy wielu rolników. Niestety, rzadko się zdarza. Wy natomiast interweniowałeś przez kilka lat, w końcu założył własną, większą spółkę wodną.

— Ale długo sami nie pociągali; jeszcze szybciej wrócili pod nasze skrzydła.

— To prawda, lecz taka była kolej

rzeczy: „Możecie być samodzielnymi — powiedzieliście im — lecz sprzętu nie otrzymacie nawet za podwójną cenę”.

— A widzi pan, jesteśmy jednak potrzebni.

— Tylko że kałuża, z powodu wadliwie założonego sączka, jak stała, tak stoi.

— Nie jesteśmy strażą pożarną, by do interwencji jechać natychmiast, albowiem woda to nie pożar i wszystkiego od razu nie strawi. Mamy tę usterkę w rejestrze i usuniemy według kolejności zgłoszeń.

O konserwowaniu urządzeń melioracyjnych, windowaniu spółkowych składek, reorganizacji, w wyniku której na każde bagno przypadnie nie dwóch, a trzech urzędników, z Czesławem Modzelewskim, kierownikiem Zarządu Wojewódzkiego Spółek Wodnych, rozmawia Stanisław Zieliński.

zenia. Chłopci najpierw długo mówią o jakiejś sprawie, by spotęgniała i zdobyła wyznawców, a potem zgłaszają ją urzędowi.

— Ostatnio chłopci dużo mówią o podwyżkach spółkowych składek. Czyżby też na zasadzie robienia przysłowiowej wody z mózgu?

— Tak to można określić. Bo przecież jeśli wszystko podrożało kilkakrotnie, a nawet kilkunastokrotnie, cena naszych usług też musiała pójść w górę.

— Rolnicy nie kwestionują wysokości składek, lecz sposób, w jaki zostały one

nieczne, należało je wprowadzić administracyjnie. Każdy dług wobec państwa jest egzekwowany w ten sposób.

— Stwierdził pan, iż składki na Spółkę Wodną muszą być takie wysokie (od 1100 do 1700 z hektara), bo inaczej stałyby się bankrutami. Ale w jaki sposób mam pogodzić Pańskie słowa z faktem, że 43 procent tych wysokich składek pobiera ZUS?

— Rzeczywiście, jest to największa kość niezgody pomiędzy Zarządem a rolnikami; my też uważamy,

że procent ten powinien być znacznie niższy.

— A co, poza „uwaganiem”, próbowaliście zrobić w tym względzie?

— Rozmawialiśmy z zarządem ZUS-u, lecz bez skutku. Odpowiedział nam, że takie są przepisy. Ale wierzę, że starania o obniżkę sumy składek uwieńczymy sukcesem, ponieważ do czyszczenia rowów zatrudniamy przeważnie chłoporobotników, którzy niepotrzebnie płacą podwójne ubezpieczenia, choć emeryturę dostaną jedną.

— Słyszałem, że robotnicy przychodzą

ustawiają się w roli klienta: płacą i chcą, by usługi były wykonane.

— Pana to dziwi?

— Częściowo tak, bo powinni też zrozumieć, że jeśli nie świadczymy im usług w takim stopniu, w jakim od nas oczekują, to znaczy, że u nas coś szwankuje. Mamy przecież kłopoty i z dowozem kadry (nieraz nawet 60—70 kilometrów), i ze sprzętem. Z organizacją też nie jest najlepiej. W Rzeczypospolitej powiatowej Spółki Wodne były znacznie prężniejsze, miały lepszy nadzór techniczny. Trafiali do nas lepsi ludzie, bardziej też szanowali urządzenia melioracyjne użytkownicy. Teraz, gdy zobaczy chłop zastawkę z mechanizmem opuszczającym, zaraz ją sobie przywłaszczy, niby to na dosztukowanie łańcucha. Popsute są zastawki w Bożenicy, Kubasach, Szablach Młodych. Szkoda w ten sposób tylko sobie, bo melioracja nie spełnia wówczas podstawowej roli; regulatora stosunków wodnych.

— Spółki Wodne podobno reformują swoją działalność. Na czym to polega?

— Powstaje nowe przedsiębiorstwo: Wojewódzki Zakład Usług Wodnych, które pod nadzorem Wojewódzkiego Związku Inwestycji Rolniczych będzie wykonywać nasze zamówienia. Znacznie nas to odciąży, ponieważ staniemy się tylko inwestorami.

— Będziecie więc przyjmować od chło-

wielka kość niezgody



wprowadzone. Spółki Wodne, przynajmniej tak się pisze w statucie, są samorządowymi, niezależnymi, można rzec: prywatnymi, gospodarczymi organizacjami chłopskimi. Czy pan podziela to zdanie?

— W całej rozciągłości.

— Na jakiej więc zasadzie przyjęliście wysokość nowych składek, jeśli wiadomo, że wybrani na Walne Zebrania Spółek delegaci nie wyrazili zgody na ich wprowadzenie?

— Tak rzeczywiście było. Wysookość składek ustalił naczelnik, żebyśmy mogli samodzielnymi bez dotacji państwa prosperować.

— Czy byłby Pan człowiekiem samodzielnym, gdyby Pan ustalał, ile Pan może mieć w portfelu pieniędzy?

— Jeśli delegaci nie wyrażali zgody na nasze propozycje, a my byliśmy przekonani, że są one ko-

do was na zimą, a wiosną wracają do swoich zagrod.

— Zdarzają się i takie przypadki. Mamy trudną sytuację i niektórzy na tym żerują. Stąd też biorą się skargi, że rowy są źle obkószone, nie odmulané, choć inspektorzy starają się zawsze pracą dobiliować.

— Robi się u was na akord. Jaka jest rozpiętość płac?

— Najlepsi wyciągają prawie 15 tysięcy, najsłabsi — ledwie 5.

— Kiedy się Panu lepiej pracowało: w latach sześćdziesiątych czy dziś?

— Wówczas mieliśmy mało sprzętu, liczyliśmy przeważnie na łopaty. Ale ludzie byli inni. Rolnicy bardziej interesowali się naszymi pracami, podawali nam swoje kandydatury na pracowników; czuli się współgospodarzami Spółki. Teraz

pów pieniądze, wydawał na Wojewódzki Związek Inwestycji Rolniczych i Wojewódzki Zakład Usług Wodnych, a gdy ktoś przyjdzie do was ze skargą, to mu odpowiecie: „Pretensje do nadzoru technicznego, że taką partaninę przyjął, i do wykonawcy, że tak spartolił robotę”. Pójdzie do tamtych przedsiębiorstw, a tam usłyszy: „Nas wynajął Wojewódzki Zarząd Spółek Wodnych, i nawet już nam za tę pracę zapłacił”. Czyli lansujecie model: trzech urzędników na jednego chłopca?

— Jeśli coś nowego wprowadzamy, to przede wszystkim z myślą, żeby było lepiej.

— Nie podzielam Pańskiego optymizmu. Proponuję jednak powrócenie do tego problemu, gdy wymienione przez Pana niewiadome nabiorą trochę treści. Dziękuję za rozmowę.

Fot. GAROR LORINCZY

Apel o pod



Polowanie, z punktu widzenia przeciętnego myśliwego, to możliwość wspaniałego wypoczynku, bliskiego kontaktu z przyrodą, przeżycia wyjątkowych emocji; w oczach naukowców — wyzwolenie się, zakodowanej w podświadomości, tęsknoty za wolnością, męskim towarzystwem, męskimi zajęciami. Normalny „zjadacz chleba” widzi w nim głównie akt zabijania, a w myśliwym — dewianta opanowanego niepohamowaną żądzą krwi. Ten sam człowiek utożsamia myślistwo z łowiectwem, sprowadzając je wyłącznie do umiejętności i praktyki polowania; to drugie kojarzy się też nierzadko, a zupełnie bezsensownie, z łowie-

polowę terenów województwa dzierzawia koła warszawskie i białostockie, 54 obwody podlegają kołom łomżyńskim. Z różnych względów są to grupy dość hermetyczne, niechętnie przyjmujące do swego grona obcych (czyli osoby mieszkające na terenach danego obwodu łowieckiego).

Na przełamanie niechęci kół łomżyńskich wystarczyły metody administracyjne (koła warszawskie i białostockie jako że podlegają innym władzom, pozostają w swoim działaniu zupełnie bezkarne). Już to niewielkie zwycięstwo pozwoliło jednak na pewną poprawę sytuacji. Optymistyczne prognozy przewidują nawet, że w ciągu roku powinno

trafić trudniej, jeszcze drożej. Nic dziwnego zatem, że — poza polowaniem na otwarcie sezonu — myśliwi nie kwapią się zbyt do „chodzenia” na ptactwo, tym bardziej że robotę za nich z nawiązką wykonują Włosi. Ptaki, których trasy wędrówne przypadają właśnie nad słoneczną Italią, z reguły nie wracają już do swoich legowisk w Polsce. Przemyślni Włosi masakrują je kilogramami śrutu wystrzelanego armatkami, wypalają przy pomocy czegoś w rodzaju altanek z sieci, z osłepionym skowronkiem — jako wabikiem — w środku.

Zdarza się, choć niezbyt często, że myśliwi, którym się „nie kalkuluje”, próbują szczęścia w klu-

zywnych i obfitych polowań. Nie ma w tym zresztą nic nienormalnego. Ludzie władzy zawsze mieli, mają i mieć będą większy dostęp do elitarnych przywilejów. W Łomżyńskim niezdrowe emocje wiązały się z reguły z tym, co działo się na terenach wyłączonych z polowań, głównie zaś w dwu obwodach nadleśnictwa Rajgród. Tam to bowiem gościł często Piotr Jaroszewicz. Co by o nim nie powiedzieć był dobrym myśliwym, „espektującym zakazy św. Huberta”. Miał tylko jedną słabość: lubił, gdy „podstawiano” mu najdorzodniejsze okazy wilków, jeleni, łosi, dzików. Kaprysy wieku kazały mu też przylatywać do Rajgrodu (w dowolnym



niem ryb. Tymczasem w rzeczywistości, o ile jeszcze myślistwo da się zdefiniować jako sztuka polowania, to już łowiectwo jest nią zaledwie w części: oprócz selekcjonowania zwierząt interesuje je bowiem także ich hodowla — planowa, zgodna z potrzebami gospodarki i zasadami ochrony środowiska. W takim rozumieniu myśliwy to nie tylko człowiek polujący, ale i gospodarz swojego terenu łowieckiego, a polowanie jest nie tylko zabijaniem, lecz także wywiązywaniem się z nałożonego obowiązku.

Na 106 obwodów łowieckich naszego województwa przypada nieco ponad 700 myśliwych. Przy 70 tysiącach w kraju — jest to liczba żałośnie niewielka, tym bardziej że w praktyce redukuje się ona do niespełna 20 proc. rzeczywiście intensywnie (raz lub dwa razy w tygodniu) polujących. Powodów takiego stanu rzeczy było i jest wiele; tym najważniejszym wydaje się jednak nieprzestrzeganie przepisów statutowych, dotyczących przynależności do kół łowieckich. Blisko

zdać egzaminy ponad dwustu adeptów myślistwa. Będzie to zmiana nie tylko ilościowa, lecz także jakościowa, zmieni się bowiem, i to w sposób dość radykalny, skład społeczny tej grupy: przybędzie rolników, ubędzie natomiast robotników. Powód tego jest bardzo prosty: polować może tylko ten, kogo na to stać. Człowiek, dla którego myślistwo staje się pasją, potrafi wydawać na nie blisko połowę miesięcznych zarobków, nie mówiąc już o tym, że wcześniej kupi przynajmniej jedną dubeltówkę i sztucer. Najtańsza radziecka dubeltówka śrutowa kosztuje około 20 tysięcy złotych, najdroższa — do 30 tysięcy, a broń kulowa — minimum 75 tysięcy. Gdyby tak chociaż można je było jeszcze dostać.

W Polsce znalazłoby się raptem jednego, może dwóch rusznikarzy, którzy potrafiliby zrobić dobrą broń śrutową. Ponieważ jednak jej nie robią (przynajmniej nie w wystarczających ilościach), kupujemy dubeltówki u Niemców za twardą walutę. Kiedyś planowaliśmy kooperację Łucznika z Manlicherem w produkcji sztucera. Za udostępnienie dokumentacji mieliśmy płacić gotowymi wyrobami. Nie produkujemy, ponieważ sprzeciwiły się temu związki zawodowe, słusznie chyba argumentując, że stać nas na zaprojektowanie własnej, być może nawet lepszej, broni.

Chce tego czy też nie chce, musi więc myśliwy za chwilę emocji płacić, i to nie byle jakie sumy. Wieczni oponenci wykładają natychmiast na stół argumenty typu: dostajecie dodatkowe talony na paliwo, macie dziczyznę... Myśliwi odpowiadają starym porzekadłem: „Gdyby łowiectwo było dochodowe, to przed wojną polowaliby przede wszystkim Żydzi. A nie polował żaden”. W praktyce talony okazują się zupełnie niewystarczające już choćby z tego prozaicznego powodu, że w województwie są zaledwie dwa punkty skupu dziczyzny i większość paliwa zżerają same tylko dojazdy do nich.

Z tego, co myśliwy ustrzeli (z grubej zwierzyny — jeleni, saren, dzików), 30 proc. wędruje do państwowych chłodni. Koła wypłacają mu co prawda tzw. częściową rekompensatę kosztów polowania w wysokości około 40 proc. wartości tuszy zwierzęcia, ale gdy porówna to z wartością wystrzelonych pocisków (trzeba pamiętać o tym, że np. dzika „strzela się” przeciętnie raz na dziesięć wyjazdów), z kosztami benzyny itd., skórka okazuje się niewarta wyprawki. Pozostałe 20 proc. myśliwy może kupić, płacąc 60 proc. wartości zwierzęcia. Zając kosztować go będzie 30 proc. wartości, czyli około 150 złotych, kaczka — blisko 50 złotych (nie licząc, oczywiście, 32 złotych za dwa wystrzelone naboje), kuropatwa, którą

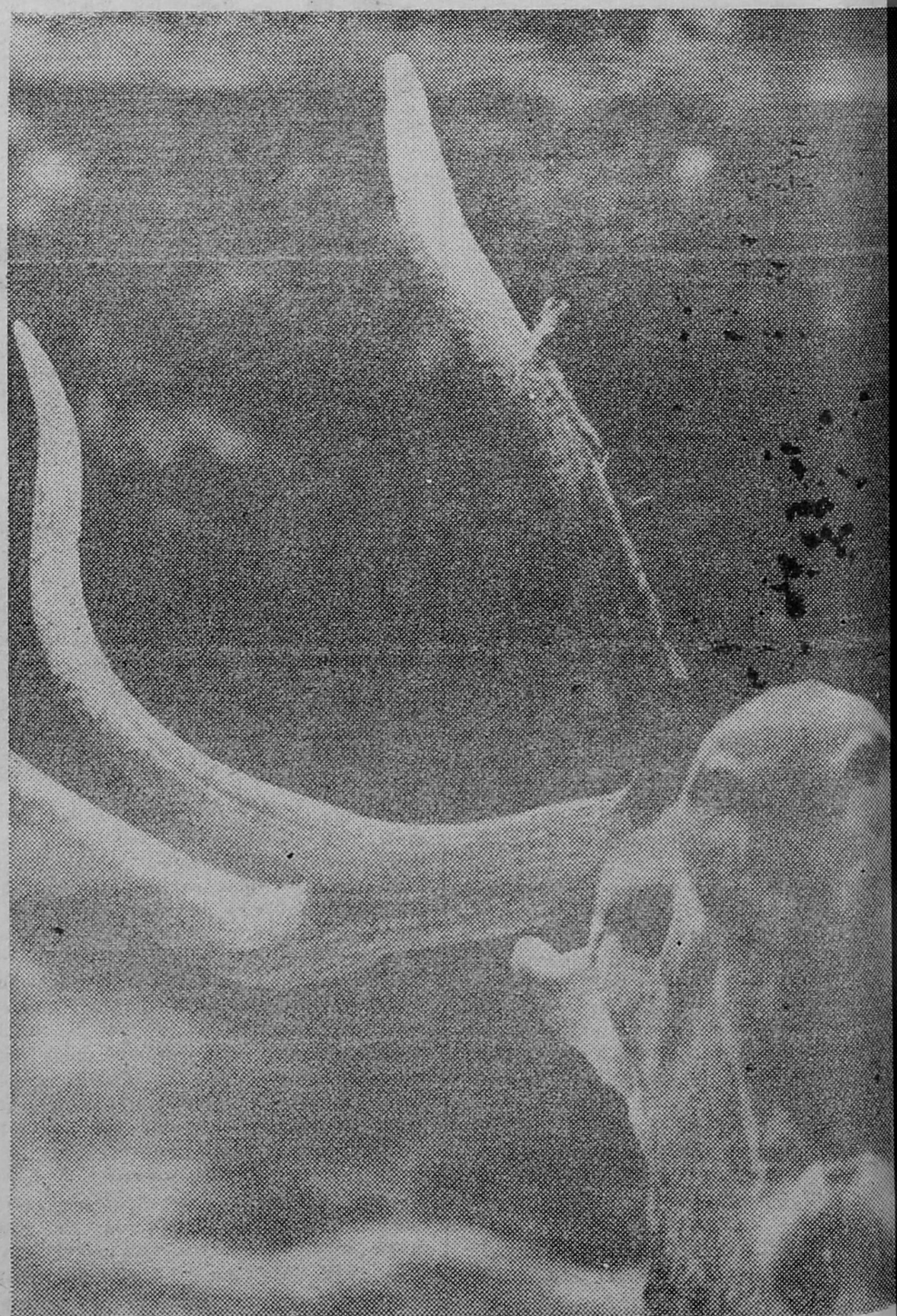
sownictwie. Przodują w tym, niestety, rolnicy. Jest coś w mentalności wielu spośród tych ludzi, co pasuje do tradycyjnego pojmowania prawa własności. Najlepiej charakteryzuje to stare powiedzenie: „Z boru, z dworu i spomiedzy nóg bierz, abyś tylko mógł”. Żeby polować i zabijać w sposób etyczny (jeżeli z iłanie w ogóle może być etyczne), trzeba dużej kultury osobistej, a ta jakoś ciągle jeszcze bywa artykułem deficytowym.

W opinii ludzi nie mających z myślistwem wiele wspólnego jest to sport dla wybranych: tych z wielką pasją, dużą forszą lub wysoką pozycją. Nie bez przyczyny w niejednym z pomazańców centralnej czy też wojewódzkiej elity władzy upatrywano (i często upatruje się nadal) bohaterów bardzo eksklu-

terminie) helikopterem, a w trop za zwierzęciem udawać się samochodem.

W tradycyjnym, nieco krzywozwyrodnianym, wizerunku myśliwego zawsze było (i jest) miejsce na piersiówkę, choć regulamin polowań tego zabrania. Że nie jest on pisany sobie a mużom — świadczyć mogą ci, którzy alkohol przedłożyli nad możność dalszego posiadania broni. Zakrapiany natomiast musiał być zawsze myśliwski bigos. Ostatnio jednak nie musi, gdyż nie wszystkim uśmiecha się odpowiedzialność za „przeżożenie broni w stanie nie-trzeźwym”.

Wbrew tego typu przykładom i mimo całej teorii o elitarności — uznać jednak można nasze myśli-



ALEKSANDER WRONISZEWSKI



Nie
mal-
step
om-
za-
ziało
po-
wo-
Tam
Ja-
wie-
es-
erta.
gdy
jsze
ków.
rzy-
nym
mu
en-
czaj
słę
rze-
ęciu
ości
wie-
my-
trop
amo-
wo-
unku
to (i
choć
ania.
mu-
tórzy
ność
akra-
wsze
dnak
uś-
za
nie-
om i
ci —
nyśli-

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

stwo za bardzo demokratyczne. W jakim innym z sąsiadujących krajów re'ord w jelenim porożu należy do jakiegoś ogrodnika, a największe łopaty łosia są w posiadaniu szarego urzędnika?

Wyjątkową pozycję ma też demokracja w strukturach Polskiego Związku Łowieckiego. Bywały już co prawda takie czasy, gdy w skład Rady Naczelnej wchodziło siedmiu ministrów, teraz jednak nie znajduje się w niej choćby jednego. Na szczęblu wojewódzkim pewnie nieporozumienia powstawały tylko w okresie kadencji pierwszych władz Związku. Dziś — zdaniem myśliwych — i prezes, i członkowie Zarządu przyzwyczaili się już do myśli, że w razie „wpadki” nie obroni ich przed zleceniem ze stołków nawet najlepszy układ czy stanowisko. Nie oznacza to, oczywiście, że ta myśliwska demokracja nie doświadcza pewnych presji czy zakusów.

Rozgrywki personalne, mniejsze czy większe skandale, związane z osobami naszego establishmentu, są jednak tylko tłem (choć niewątpliwie bardzo barwnym) działalności gospodarczej, kryjącej się pod pojęciami „myślistwo” i „łowiectwo”. Jej wyników nie dostrzegamy zbyt wyraźnie tylko dlatego, iż dość rzadko mamy możliwość wykładania na nasze stoły dziczych udźców czy zajęczych pasztetów. 90 proc. upolowanej dziczyzny wędruje bowiem na Zachód, powiększając nasz budżet narodowy o około 25 milionów dolarów rocznie. Podobno Polacy nie lubią mięsa, które hoduje się poza zagrodowymi kojcami. Znacznie lepszym argumentem przemawiającym za eksportem wydają się jednak ceny. Za mięso dzika uzyskujemy w RFN-je dwukrotnie więcej twardą walutę niż za wieprzowinę, za mięso jelenia tyleż samo, ale w relacji do wołowiny. Kilogram sarniny kosztuje 12 marek, żywy zając — od 60 do 110 dolarów.

Bardzo opłacalne są też tzw. polowania dewizowe. Amator kaczki czy kuropatwy za samą możliwość zabicia ptaka płaci 9 dolarów. Ostatnie restrykcje wobec naszego kraju utrudniły nieco ten opłacalny eksport. Od ponad roku zalegają magazyny tony mięsa. Zachód kupiłby je, ale pod warunkiem, że za tę samą cenę damy lepszy i lepiej przygotowany asortyment. Jak widać, nie tyle liczą się restrykcje,



co prosta handlowa kalkulacja. Zachodni partnerzy doszli do wniosku, że skoro u nich można było obniżyć koszty produkcji energii (mając przecież znaczny wpływ na wszystkie inne), powinno to być możliwe i u nas.

Prędzej czy później problem ten najprawdopodobniej przestanie istnieć. Pozostaną jednak do rozwiązania inne, znacznie poważniejsze. Jednym z nich są chociażby tzw. koszty melioracji i chemizacji. Ubywa naturalnych siedlisk ptactwa, grubej zwierzyny. Opryski zbóż powodują, przez niszczenie chwastów, zmniejszenie się żerowisk zajęcy. Nie wytrzymują też działania środków chemicznych same zwierzęta i ptaki. Lasy objęte akcją oprysków na pewien czas „umierają” — giną owady i ptactwo, a grubszą zwierzyną wynosi się na inne tereny. Ratunkiem mogłoby być stosowanie środków o krótkotrwałym i nietoksycznym działaniu. Czy jednak takie naprawdę istnieją? Przecież DDT też miało spełniać te warunki. A mechanizacja? Najnowocześniejszej ko-

siarce rotacyjnej nie ujdzie spod ostrzy nic, co żyje.

Poważnym niebezpieczeństwem dla zwierząt i ptaków są też drapieżniki domowe: psy i koty. Niemal w każdej wiejskiej zagrodzie są małe, wygłodzone kundle. Taki wyżywi się sam, wystarczy go spuścić na noc z łańcucha. Duży, zdrowy zając pokaże mu tylko omyk, ale malutki — nie ucieka, przycupnie najwyżej w jakimś zagłębieniu, powierzając swoje bezpieczeństwo barwom ochronnym. Na psa, który ma przecież świetny węch, jest to o wiele za mało.

Bardzo przydałoby się administracyjne rozwiązanie tego problemu. Władze wojewódzkie nie podejmują go jednak, pozostają głuche na wszelkie propozycje Związku Łowieckiego. A przecież mają pod bokiem bardzo dobry przykład: wojewoda suwalski wydał odpowiednie zarządzenie, które rozplakowano po wszystkich wsiach województwa, a na dodatek wydrukowano w „Gazecie Współczesnej”. Teraz i rolnik wie, czego mu nie wolno, i myśliwy ma się czym podeprzeć, gdy interweniuje w jakiejś sprawie.

Ochrona zwierząt to jeszcze nie wszystko. Myśliwi muszą dbać także o to, by chronić uprawy przed zwierzętami. Nie wystarczy tu już bowiem selekcyjne odstrzały, trzeba zakładać poletka zaporowe, dokarmiać zwierzęta. Minęły te czasy, gdy dziki, jelenie czy sarny trzymały się lasów. Pola uprawne stały się dla nich wyśmienitymi żerowiskami. Chociaż stan liczebny poszczególnych gatunków zwierząt utrzymuje się w normie, rosną kwoty wypłacane rolnikom w ramach odszkodowań. Nie oznacza to jednak, że rosną same szkody. Jeżeli w roku 1981 zwierzęta zniszczyły w 100 proc. 138 hektarów, to w rok później już tylko 122. Kwota odszkodowań — 5,73 miliona złotych — wypłacona rolnikom łomżyńskim, jest też minimalna w stosunku do odszkodowań w skali kraju (1,3 miliarda); 1,5 promila z całej produkcji rolnej to niewiele w stosunku do 20 proc. strat wynikłych z niewłaściwego przechowywania płodów rolnych.

Mimo że problem nie ma poważniejszego wymiaru gospodarczego, jest drażliwy z punktu widzenia społecznego. Stwarza bowiem konfliktową sytuację pomiędzy myśliwymi a rolnikami. Ci ostatni potrafią też czerpać dzięki niej poważne korzyści. Jako że odszkodowania są dość wysokie, sieją oni w pobliżu lasów rośliny szczególnie atrakcyjne dla zwierząt. Swego czasu jeden z podłomżyńskich gospodarzy za 1,5 hektara podniszczonych upraw otrzymał 100 tysięcy złotych, nie licząc, oczywiście, wartości tego, co udało mu się zebrać.

Chyba już ostatnim z najważniejszych problemów łomżyńskiego Związku Łowieckiego jest brak własnego locum. Trzy malutkie pokoiiki „kątem” mogły satysfakcjonować wczoraj, ale dziś stają się zwyczajną zmorem. Kilka lat temu pojawiła się szansa na biura z prawdziwego zdarzenia. Organizacje społeczne (nie posiadające osobowości prawnej), a wśród nich m.in. Związek Wędkarski, Liga Ochrony Przyrody, Cech Rzemiosł i PZŁ, dogadały się z Bankiem Spółdzielczym, który akurat prowadził własną inwestycję, by pod jego patronatem wybudować własny, wspólny budynek. Plany były piękne: na parterze miał się mieścić bazar rzemiosła, a w nim sklep myśliwsko-wędkarski; na pierwszym piętrze — biura rzemieślnicze i sala konferencyjna, a na drugim, wywalczonym po ciężkich bojach z architektem — biura wszystkich współdziałających organizacji. Bank Spółdzielczy załatwiał część projektowo-uzgodnieniową i materiały budowlane, a rzemieślnicy — wykonawstwo. Wszystko miało się zamknąć w kosztach 7000 złotych od metra kwadratowego. Prezydent obiecał, że jeszcze przed wyważeniem wpuści ich na plac budowy. Tymczasem zamiast nich pojawił się tam — jak twierdzą zainteresowani — syn prezydenta. Wprawdzie wysiadano go stamtąd, ale niepowtarzalna okazja przepa-
dała.

Związek Łowiecki w tym roku obchodzi swoje 60-lecie. W którym z następnych dziesięcioleci pomyślnie o przeprowadzce?

Fot. CAF

spiećcia



VI Zjazd Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej w jubileusz dwudziestopięciolecia — na wniosek jednego z członków — uchwalił uchwałę unieważniającą wszystkie poprzednie uchwały Towarzystwa, członka-wnioskodawcę wybrał natomiast swym prezesem. Jednogłośnie. Czyżby za niedźwiedzią przysługę obowiązywały już stawki akordowe?

Długa obserwacja pracy silników doprowadziła samochodziarzy do prostego wniosku: po zatankowaniu paliwa w stacji CPN-u przy szosie ostrołęckiej wóz reaguje na naciśnięcie dźwigni gazu jak rakietę, wystarczy jednak uczynić to w stacji przy ulicy Wiejskiej lub w Piątnicy, a zaczyna kichać i przychodzi. Pytają więc nas: dlaczego? Skąd m... j wiedzieć? Na te chrzciny nikt nas nie zapraszał.

Z satysfakcją notujemy, iż przy budowie obwodnicy przez osiedle Jantar w Łomży w niczym nie uchybiono tradycji słynnej polskiej szkoły drogownictwa: po ułożeniu chodników, płyt krawężnikowych i trwałej nawierzchni przypomniano sobie o czymś i w wyznaczonych punktach wszystko trzeba było zrywać. Pojawił się więc młot pneumatyczny. Pneumatyczny?

Na naiwne pytanie agenta „Spieć”: „Co przypomina panu Łomża” — wiekowy (aczkolwiek) uczestnik zjazdu absolwentów tutejszych szkół odrzekł bez namysłu: „Potężny koszar na śmieci”. Poszliśmy tropem. Przy jednej tylko ulicy Świerczewskiego w dwóch miejscach jęczą drzewa obwiązane solidnym drutem; poszły na peryferiach toną w pokrzywach i chwastach; widok Hali Taragowej wyprowadza z równowagi nawet daltonistów. Kiedy zaczyna się upadek cywilizacji? Gdy szanujący się pies nie ma już gdzie podnieść nogi.

Ubiegłorocznym maturzystom Technikum Weterynaryjnego w Łomży szkoła zaszerwowała w czasie egzaminów dojrzałości napoje, kanapki, a nawet ciastka. W tym roku uczniowie mogli już tylko podziwiać apetyt ciała pedagogicznego; dla nich nie znalazła się choćby, mimo upałów, woda mineralna. W ubiegłym roku maturę zdawała córka dyrektora; w tym — nie. Wchodzącym w dorosłość na pewno przyda się to doświadczenie życiowe. Wszak nie bez kozery mówi się o tych, którzy nabyli ich wiele: „Z niejednego pieca chleb jedli”. Więc czy to ważne, że umierają najczęściej na niestrawność żółdka?

Światowy kryzys energetyczny objawił nam się w Łomży na ulicy Fabrycznej ideą porozumienia. Miała postać dostawczego samochodu LOA 061C, do którego podturlał się maluch LOP 0741, by zagrać „machniom” o dwie butle z gazem. Pierwszy to bodaj przypadek, że gaz skłonił do przyjaznego wyciągnięcia rąk. Obu stron.

9

KONTAKTY
17 VII 83



Była dopiero godzina 10.20, gdy doczekałem się windy. Powolnym rytmem niemalże weneckiej barkaroli wspinałem się pod górę na czternaste piętro. Po chwili stanąłem przed drzwiami człowieka, którego twórczość oglądałem na wszystkich ogólnopolskich wystawach w kraju i za granicą. Naciśnięciem guziczka.

Kobieta w średnim wieku zaprosiła do wnętrza. Wszedłem do przedpokoju, potem — do dużego salonu. Z łóżka zerwał się mężczyzna w szlafroku, ale przy krawacie.

— Stażewski jestem. Henryk.
— Widywałem pańskie dzieła często — powiedziałem z szacunkiem.
— Cieszę się, że mogę poznać twórcę.

Usiedliśmy przy stoliku w pracowni.

— Ciągłe jest pan młody i płodny...

— Bo tworzę i myślę. Już niemal trzy czwarte wieku! Urodziłem się w Warszawie i, poza latami ostatniej wojny, spędziłem tu całe życie. Do roku 1942 mieszkalem na Złotej. Dziś stoi tam Pałac Kultury. Dom rozbili hitlerowcy, a ja od 1943 w Szczekocinach musiałem biegać. Ale odkryłem tam piękno małych miasteczek.

W drzwiach wiodących do kuchni stanęła kobieta.

— Może to żona? Pilnuje artysty przed nadmiarem zmęczenia?

Obrócił się do tyłu. Kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Żona? Po co mi żona? To moja sprzątaczką. Dwa razy w tygodniu czyści mi mieszkanie. Jestem żelaznym kawalerem, dlatego czuję się młody.

— Jak pan określa styl swojej twórczości?

— Jestem konstruktivistą z przekonania.

— Jak Rodczenko i Tatlin?

— Owszem. Ale największy wpływ na kształt moich prac wywarł Kazimierz Malewicz. Miał on olbrzymią wystawę w Warszawie w roku 1935, lecz znany był od dawna. Zaimponował mi jego manewr. Otóż

NIEZWYKŁE SPOTKANIA

EUKLIDES W BŁĘKITACH

kiedy został rektorem Akademii w Moskwie, zeszli się do niego wszyscy brodacze, starzy profesorowie sztuki. Popatrzył on na tę całą kuriozalną plejadę i wskazując Stanisława Noakowskiego, krzyknął z całej siły: „Ty zostaniesz!” Powyrzucił „akademików” i pracownie obsadził awangardą.

— Wobec tego nieludno wykreślić przynależność stylową w Polsce?

— Bardzo łatwo. Najpierw była grupa artystyczna „Blok”, potem „Praesens” i wreszcie „a.r.”. W końcu zostałem sam. „Blok” stworzyliśmy razem ze Strzezińskim i Ko-

brem w roku 1923. W skład jej wchodziło wielu, między innymi Berlew, Aleksander Rafałowski, Edmund Miller, Mieczysław Schultz, Mieczysław Szczuka. Ten redagował organ naszej awangardy konstrukcyjno-abstrakcyjnej, którym do 1926 roku było czasopismo „Blok”. Potem przenieśliśmy się w „Praesens”. Doszli Bruckalscy, Helena i Szymon Syrkusowie, Jan Golus, Bohdan Lachert, o baj Pronaszkowie, Józef Szanajca. Jednakże rozlaźli się i „Praesens”. Kilku z nas, niedobitków, stworzyło grupę pod nazwą „a.r.”, tzn. „artyści rewolucyjni”. Do stałych współpracowników, unistów i formistów doszli Hiller i Wegner oraz poeci: Jan Brzękowski i Julian Przyboś. Wspólnie redagowaliśmy „Bibliotekę a.r.”, która obejmowała tomy poetyckie oraz prace teoretyczne Kobra, Strzezińskiego i Wegnera. Organem grupy było czasopismo „Forma”. Ale i to rozwała wojna; jedni poumierali, inni zmienili ukierunkowanie. Zostałem sam — ostatni konstruktivistą. Podczas bombardowania w roku 1942 straciłem wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu przy ulicy Złotej. Tu są prace tylko z ostatnich lat.

Obie wielkie sale, pracownia i salon, były pracowniami. Wszędzie obrazy; nawet w przedsiönku, kuchni, łazience. A gdzie oko nie padło — koła, trójkąty, czworoboki, zdominowane przez błękit w tysiącach wymyślnych odcieni, w wyrafinowanych prześwitach i układach kolorowych form geometrycznych, płaszczyzn, linii. Owe błękity wywoływały wrażenie czegoś, czego dotknąć nie można, a co trwa jak życie, jak czas. Przypominały mi ściany chat rodzimych, domów Grecji i lepiarek Beduinów na pustyniach Sahary. Przypominały także tonację Bramy Gnojeńskiej w Damaszku, Jerozolimie, w Marakeżu, w Kairze i na śródziemnomorskiej Dżerdzie.

Zrozumiałem: artysta żył błękitami w przestworzach. Jego gniazda nie mógł pokalać nawet najdzikszy z absurdów.

Al Gol

kto nie kombinuje

Rano, jak zwykle, Antoś pobiegł po mleko. Zapłacił 19 złotych. Po drodze jednak zorientował się, że coś nie jest w porządku. Litr mleka kosztuje 10 złotych. Został oszukany! Energicznie zawrócił do kasy i zdecydowanym głosem poprosił o 9 złotych resztę. — To za butelkę pani liczy? Przecież dałem swoją!

W domu, w czasie wkładania mleka do lodówki, spostrzegł nagle pustą butelkę stojącą — jakby nigdy nie — na szafce.

Trochę później wskoczył do samochodu i pojechał na targ po jajka.

— Po 25 złotych para? Co tak drogo?

— Kury słabiej się w upały niosą.

— No to proszę pięć par.

Kiedy dziesięć jajek spoczęło na dnie papierowej torebki, zajął do portmonetki: był tam banknot dwustu złotych. Szybko policzył w pamięci.

Doda pani jeszcze trzy pary. Proszę — podał dwieście złotych.

— Ale, panie, nie mam wydać.

— A ile pani liczy za te jajka? — zapytał mocno zdziwiony.

— 125 złotych

— Aha. — Poszperał w kieszeni i uzbierał 124 złote 50 groszy. — o 50 groszy za mało...

— To nic.

Szedł i zastanawiał się, co robić. Nagle usłyszał krzyk:

— Panie! Paaanieee!

Obejrzał się za siebie. Bieła za nim babina i machała z przerażeniem rękami.

— Ale mnie pan młody skołował! Najpierw pięć par, potem trzy, to nie 125, a 200 złotych dla mnie!

— Ja wiedziałem, ale chciała pani 125, to co się z pania będę kłócił — trochę niezadowolony wskoczył do samochodu i odjechał.

Wracając z pracy zajął do kiosku: — Są radomskie? Nie? To proszę dwie paczki klubowych. — Wyciągnął z portmonetki banknot 50-złotowy, wsunął w stronę sprzedawcy, ale... zawrócił rękę i wysunął 6 złotych drobnych.

— Proszę.

Pani wzięła drobne, a on pięćdziesiątkę powoli umieścił w swoim pugłaresie. Kilka sekund postął, a kiedy pani w kiosku zaczęła się nad czymś zastanawiać, przedko powiedział, żeby ją od niebezpiecznej myśli na chwilę oderwać: — Jeszcze wkład do długopisu proszę.

Niepewnie, choć bez oglądania za siebie, oddalał się od kiosku w stronę domu.

— Jak na dziesiąt to dwa jeden dla mnie — pomyślał i radość wewnętrzną kazała mu iść przed siebie z godnie podniesionym czołem.

LESZEK CZYŻ

wypisy z historii

▲ 20 VII 1591 r. król Zygmunt III zatwierdził statut cechu kupieckiego, uchwalony przez mieszczan i kupców łomżyńskich. Według statutu do cechu mogli należeć każdy kupiec łomżyński po wpłaceniu kopy pieniędzy polskich, klody piwa i dwóch wrębów wosku wpisowego. Syn jego wpłacał tylko połowę. Kupiec spoza Łomży, aby wstąpić do cechu, musiał dać pięćdziesiąt złotych polskich i dwa kamienie wosku do skrzynki. Wdowie wolno było należeć do cechu i zajmować się handlem aż do powtórzonego zamążpójścia. Za zajmowanie się handlem bez należenia do cechu groziła grzywna pół kamienia wosku i beczki piwa. Miejscowi kupcy należący do cechu mieli pierwszeństwo nabywania i sprzedawania towarów na targach, jarmarkach. Statut zakazywał przeszkadzania w jakikolwiek sposób przy targowaniu i kupowaniu towarów przywiezionych

nych do Łomży pod karą kamienia wosku i klody piwa. W pogrzebie członka cechu kupieckiego mieli obowiązek brać udział inni członkowie razem z żonami. Za uchylanie się od tego należało sapać, cięć półgrosza do ogólnej skarby.

▲ 18 VII 1794 r. rozegrała się bitwa pod Dębnikami. W widłach Narwi i Pisy zgrupowane były parotysięczne siły polskie. Prusacy uderzyli na wojska gen. Karwowskiego i bitwę wygrali. Generał Cichocki zarządził po bitwie ewakuację z prawego brzegu Narwi, a następnie utworzenie kordonu: oddziały gen. majora Aleksandra Zielińskiego z trzema armatami miały zabezpieczyć odcinek Narwi od Ostroliki do Nowogrodu, Kwaśniewski Łomżę, a mjr Roltzberg na czele ludzi z dywizji Karwowskiego (140 strzelców i 40 kawalerzystów z jedną armatką) zasłony popołitym ruszeniem i jazdą dymową miał zastępować. Wydzia Komorowskiego miała być wycofana do Ostrowi i zreorganizowana. Z wolna ścigał rozbitków, straty okazały się niezbyt groźne — Prusacy wzięli do niewoli 5 oficerów,

60 żołnierzy; dotkliwsze w działach (5 armatek i 1 jednoróg). Powodem klęski było zbytne rozproszenie sił i brak koordynacji. 19 VII 1794 r. wieczorem płk Kwaśniewski ścigał pod Łomżę.

▲ 15 VII 1943 r. — egzekucja 50 osób inteligencji łomżyńskiej w lesie jezior. kowskim.

▲ W nocy z 15 na 16 lipca 1943 r. oddział AK pod dowództwem por. „Karaśa” dokonał zbrojnej akcji na posterunku żandarmerii niemieckiej w Kuleszach Kościelnych, w wyniku której rozbił załogę posterunku, zabił hitlerowskiego sołtysa, zdobył jeden karabin maszynowy, jeden zwykły oraz dwa pistolety.

▲ W nocy z 16 na 17 VII 1943 r. patrol AK zniszczył — pracujące dla hitlerowskiego okupanta — urząd, gminy mleczarnię i sklep w Kolakach.

▲ W lipcu 1944 r. w odwet za akcję zbrojną hitlerowcy rozstrzelali we wsi Boguski 11 rolników. Zwłoki ofiar pochowano na cmentarzu w Wiźnie.

▲ 20 VII 1969 r. przekazano do eksploatacji system nawadniający zmeliorowa-

ne łąki w rejonie Wizny w pow. zambruskim. Łączny koszt budowy wyniósł 35 mln złotych. Zakończona została regulacja stosunków wodnych na obszarze Bagna Wizna.

▲ VII 1969 r. w Goniądzu powstało Towarzystwo Przyjaciół miasta.

▲ 20 VII 1971 r. w Białymstoku uruchomiono nowoczesną drukarnię, wybudowaną kosztem około 140 mln złotych. W tym dniu wydrukowano nadzwyczajne wydanie „Gazety Białostockiej” w nowym, dużym formacie.

▲ 15 VII 1974 r. Ciechanowiec otrzymał jubileuszową nagrodę 5 milionów złotych w VI Ogólnopolskim Konkursie na tytuł „Mistrza Gospodarności”. Wyróżniono za aktywność społeczną w okresie 30-lecia PRL otrzymały: Grajewo, Gołdap i Olecko.

▲ 1 VII 1975 r. Miejska Rada Narodowa w Łomży dokonała zmiany na stanowisku przewodniczącego. Nowym został sekretarz KM PZPR, Stanisław Piwowar. Rada zapoinowała kandydatkę Janę Rachubki na stanowisko prezydenta miasta Łomży.



i mnie wydał

Ja Leon, przeszłego Mateusza Sienickiego z Sienicy Pitraszów dzie-
dzic Mam lat około pięćdziesiąt.
Przy oycu nieboszczyku swoim cho-
wałem się y po śmierci oycy mego
ożeniłem się z nieboszczką pierwszą,
z domu Maryanną Woytkowską, y
spłodziłem syna na imię Krzysztofa.
Po tym, po śmierci pierwszej żony,
ożeniłem się z Marcyanną Dąbrow-
ską, córką nieboszczyka pana Woy-
ciecha Dąbrowskiego, y mieszkam z
nią dziewiąty rok. Dzieci z nią nie
mam. Z pierwszą żoną żyjąc lat
sześć żadnej akcji złej nie czyni-
łem, ani się tym bawiłem. Owszem
ludzi przestrzegałem. Z tą zaś żoną
przed trzema laty, przez wiadomoś-
ci iey, naprzód wziętem u niebosz-
czyka Xiędza Woyciecha Czyżew-
skiego, altarzysty czyżewskiego, ko-
nia y przedałem w Sokolowie za
tyńfów szesnaście. Którego, dowie-
dziwszy się, odebrał nieboszczyk pan
Stanisław Czyżewski brat Xiędza
Czyżewskiego. Po tym w nocy do-
byłem się z panem Maciejem Dąb-
rowskim Szatanem do spichlerza pa-
ni Łukasowej Reginy z Bieńkow-
skich, nieboszczyka Łukasza Sie-
nickiego, brata stryjecznego żony,
także w Sienicy Pitraszach. Pan Dą-
browski siekierą dziurę w drzwiach
u spichlerza naprzeciwko zapory
wrał y zaporę otworzył. Y
wszedł do spichlerza pomienionego
Dąbrowski, a ja stałem w stodole
na klepisku, gdzie owa ze dwa kor-
ce, grochu ze trzy ćwierci, kaszy
gryczanej także ze trzy ćwierci, sło-
niny pułtora polcia, pszenicy pułkor-
ca, sukna kramnego łokci pięć nie-
bieskiego, które wraz wynosiliśmy
na sianie, któremi z domu od siebie
przysięchał do mnie tenże pan Dą-
browski. Y tymisz sianiami y koniem
poiechaliśmy w nocy o pułnocku do
pomienionego paniey Sienickiey, y te
rzeczy zabrawszy, zawieźliśmy do
Dąbrowy Michałk tegoż pana Dą-
browskiego y złożyliśmy w stodole.

Mnie po trosze wydawał, a sam
krupy zjadał, a zboże do Ciecha-
nowca zawiozł y przedał. A sukno
zostawił tenże pan Dąbrowski u

szlachcica pana Gołaszeskiego w
Cherubinach, o którym się dowie-
dział Imć Pan Jan Bieńkowski, y
odebrał sukno, pieniądze oddawszy.
Słoniny mnie także udzielał po kilka
razy.

Więcey nie miałem z nikim żad-
ney ligi y nikogo nie ukrzywdzi-
łem, oprócz tego com namówiwszy
się z Janem Skowronkiem będąc
w Sutkach. Potem przez kobietę na
imię Zofia Konarzewska, dałem znać
temuż Skowronkowi, żeby przycho-
dził do mnie. Ale ta Zofia Kona-
rzska nie wiedziała po co ma
przyjść do mnie. Który przyszedłszy,
rozmówiłem się y powiedziałem
mu, że dziewczka imieniem Łucya
Godlewska, służąca u Paniey Ma-
rianny Sienickiey powiedziała mi,
że jest co brać u Pani moiey. Która
upatrzywszy, że Pani poiechala na
odpust do Czyżewa na św. Rocha,
mnie zawołała do siebie, gdzie przy-
szedłszy byłem w izbie, po tym y w
komorze z tą dziewczką. Więcey ni-
kogo nie było, gdy mi pokazała we
dwóch miejscach pieniądze. Potem
ja obejżawszy, natenczas nie brałem,
ale w nocy sprowadziwszy do siebie
Skowronka, z soboty na niedzielę po
św. Rochu, mówiłem mu o tych pie-
niądkach y o tych rzeczach. Który
rzekł: „Dobrze, poydziemy”. W tym
poszedł do budynku paniey Sienic-
kiey y podkopał się do komory, po
tym przyszedł do mnie y dał mi
znać: „Zem się już podkopał”. Gdzie
ja poszedłem y powiedziałem mu
gdzie to leży. On mi wydawał dziu-
rę, ja odbierałem. Pieniędźmi się po-
dzieliłiśmy, mnie się dostał talar bi-
ty zły, iam też go utopił. A rzeczy
wszystkie, z któremi nas tu przypro-
wadzono, ponosiliśmy w pole y po-
kładli w grzędy. Pokładłszy Skowro-
nek wziół pieniądze połowę y dla
żony krup, y masta, y sierp, a w
nocy poszedł z tym do Sutk. Idące-
go potkał pan Mateusz Dmochow-
ski z Bieńków, który nocował przy
zbożu, i pytał go skąd idzie. Pomie-
niony Skowronek powiedział, że tu
w Sienicy żął y dano mi kołędę.
Tym czasem w Czyżewie dano znać,

konfessaty



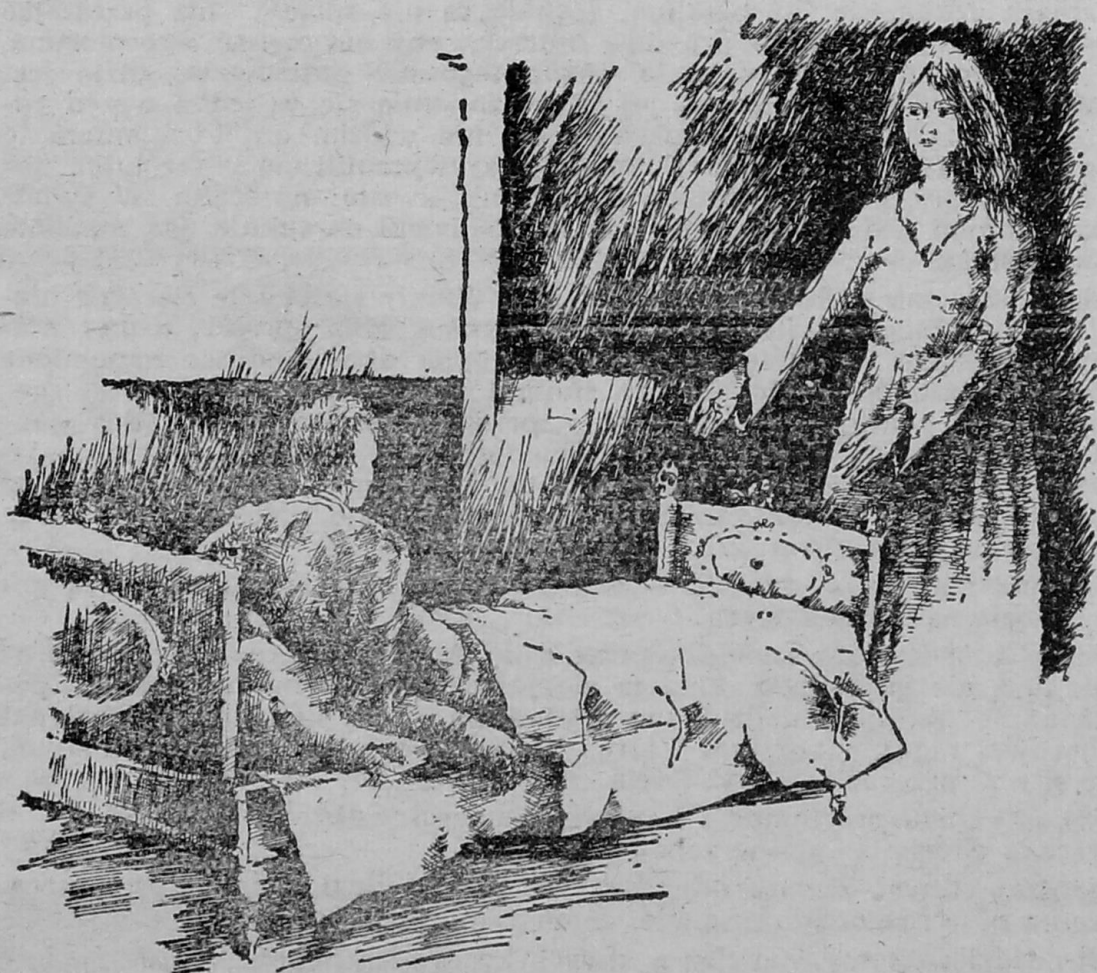
Konfessaty, czyli zeznania sądowe, spisane z „Ksiąg Nurskich”.
Zawierają barwny opis boyczajów i warunków życia drobnej szlach-
ty, zamieszkującej ziemię nurską w XVIII w. Dla „Kontaktów” zebra-
ła je Danuta Maciejewska.

że okradziono panią Sienicką, y
ludzie poczęli gadać, że to była moja
sprawa. Dowiedziawszy się pan
Dmochowski powiedział przed nie-
mi, że spotkał Skowronka y nioś
w worku kaszę, y masto, y sierp. Co
słyszac, dowiedzieli się o nim, że
w Sutkach na robocie. Poiechali i
wzięli go, który się przyznał y mnie
wydał. Jam tę akcję uczynił ze zło-

ści, zazdroszcząc, że ona ma dobrze
a ja nie. A co większe, że po nie-
boszczyku panu Jacku Sienickim
zostało tylko jedno dziecko, y to mi-
zerne. Żeby tego dziecięcia nie by-
ło toby na mnie sukcesya była. Y
mnie wzięwszy, w dyby wsadzili y
do kancelarii przyprowadzili. Wie-
cey się ni do czego nie znam. (Rok
1741).

11
KONTAKTY
17 VII 83

dokumenty



Waldemar trzęcące się ręce Luci położył sobie na oczach i oddychał cięż-
ko, i rzeził.

Ona z okropnym trzepotaniem się serca spojrziała na doktorów wzrokiem
konającej. Błagała ich o coś Zrozumieli.

Badanie trwało krótko Ordynat nie widział ich, trzymał ręce Luci i
przemawiał do niej jak do narzeczonej. Błędnie składał słowa, chwilami
cichł i znowu zaklinał ją, by nie odchodziła.

Doktorzy podnieśli się z dobrą smugą w oczach. Twarze ich były jasne,
szczęśliwe.

— Przesilenie minęło. Ocalony!

Lucia nie zrozumiała, czy to wyrok, czy łaska. Umysł jej stępał. Mru-
gała powiekami.

Jeden z lekarzy wziął jej ręce.

— Baronówno, przytomności trochę. Zło przeszło. Spokoju.

— Stefcu, zo... staniesz — spytał chory zasypiając.

Rzuciła się na kolana przed łóżkiem całując jego ręce:

— Zostanę... na zawsze! — jęknęła.

(cdn.)

Ordynat Helena Mniszek Michorowski 9

Barbarzyńskie topory w rękach bestii ludzkich grzmiały już donoś-
nie, śmiało, z rozmachem piekielnych cepów. Chłoptwo czuło się pa-
namami boru i darło mu wnętrzności, zabierając wszechpotężnych
magantów puszczy. Siekiery niweczyły butne istnienia druzgocąc je kawał-
kiem żelaza.

Bór szedł na pastwę, bór z jękiem konającego pomocy wzywał, bór pła-
kał nad zgubą wodzów. A dęby toczyły krew, ciała ich pokrywały się ra-
nami, czuby trzęsły ostatnie dreszcze.

Ale stały, jeszcze stały wielkie, choć już słabnące jeszcze czoła do góry
pną. Krzywda się im dzieje, lecz mężne trwają w chwale do końca.

Gdy kilkadziesiąt olbrzymich trupów legło z głuchym łomotem ostatnich
techni i gdy nad nimi rozszalał się bór, i zwierzęcym wzglem tłuszcza
chłopska ogłosiła swój triumf, w Biało-Czerkasach powstał zamęt.

Do sypialni ordynata zastukano gwałtownie.

— Co tam?!

Zdyszany głos za drzwiami wyrzucił krótko:

— Chłopi rąbią las!

Ordynat zerwał się jak ugodzony.

— Który? Gdzie?

— Uroczyisko czarnych dębów!

— Konia podawać! Prędko! Strażacy na koń! Cała służba!

Kamerdynier biegł spełnić rozkaz.

Ordynat ubierał się gorączkowo.

On kochał te dęby, przeniósłby je do Głębowicz, gdyby mógł.

Jego dęby tną! Dęby giną... Chryste!

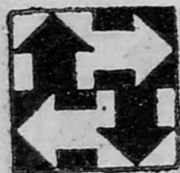
Nie upłynęło kilkanaście minut, kiedy ordynat, na nic nie pamiętny, w
ubrani do konnej jazdy i w lekkiej burce gnał do boru na czele zastępu
strażaków, kilku strzelców i służby. Tuż za nim, leżąc na koniu, cwało-
wał wierny Jur i klął w duszy, zły, że nie miał pod ręką swoich chłop-
ców, strzelców zwierzyńskich, dla obrony pana i jego boru.

Wiatr gwizdał w uszach, ćwiczył ordynata, ostrym zgrzeblem wbijał mu
się w piersi. Rwali w pomroce, lecąc jak orły drapieżne niesione zemstą.
Dziesięciu strażaków z pochodniami naprzód, krwawą szarfą znaczyli przy-
bycie pomocy nieszczęsnej puszczy.

Wpadli w bór jak szalony, rozżarty płomień i wznicieli popioch. Pochod-
nie rozlały się na wszystkie strony. Każda goniła kilku chłopów. Wrzaski
uciekających ogłuszały. Chłoptwo zmykało bez tchu, gonione tętentem koni,
blaskiem smolnych zarzewi. Biało-czerkascy nie bili, mieli wyraźny rozkaz
jedynie rozpędzić tłum. Ale przeklinali „muzyków”, jak kto umiał, bo to
rozszewala strach. Chłopi ogromni, zarośnięci kudłami, rzucali topory i, o-
ślepi z trwogi, rozbiegali się jak szakale, skacząc i przewracając się przez
powalone dęby. Gdy pomiędzy dwoma pochodniami ujrzeli pędzącego or-
dynata, krzyk wzmógł się. Pojedyncze głosy chrząpiał:

— Książ! Książ! Michorowski! Baczysz? Ratujcie ludy!

Chłopi stale nazywali ordynata „kniaziem”, nawet nie ze względu na
mitrę, lecz na miliony. Takiego bogacza bez tytułu „kniazia” nie pojmwali.



Po prezentacji prac kilku anonimowych (brak jakiegokolwiek informacji o autorach) członków Warszawskiego Towarzystwa Fotograficznego którzy pokazali gołasów w bloku i na trawie. Galeria pod Arkadami gości wystawę Kazimierza Centkowskiego. zatytułowaną „W Łomży”

Nie chcę porównywać tych — programowo różnych — ekspozycji, ale trudno mi powstrzymać się przed refleksją na temat poprzed-

JAN BALDRIAN

niej: jak obrzydliwa, niefotogeniczna jest architektura wnętrz naszych współczesnych bunkrów mieszkaniowych, skoro akty przeciętnie urodziwych dziewczyn wyglądają na jej tle mało wdzięcznie!

Kazimierz Centkowski, fotoreporter „Nowej Wsi” (poprzednio w „Panoramie Północy” i „Czasie” — do ich likwidacji), przedstawia fotograficzne opowiadanie o naszym mieście, o tym, co w Łomży jest szarością życia. Jeśli miałbym krótko nazwać formę tego, co pokazuje Centkowski, użyłbym neologizmu: fotopublicystyka liryczna. On nie interweniuje swoimi zdjęciami, nawet kiedy przedstawia puste, porzucane gabloty „galerii ludzi dobrej roboty”, opatrzone do niezauważalności, dumne, państwotwórcze hasła czy zbitkę nazw ulic: „Kaznodziejska” i „Rządowa” — na tabliczkach przymocowanych do narożnika nędznej, drewnianej budy. Są to znaki prowincjonalności, biedy zaścianka i zwykłej „prywiczki” do tego, że tu i tak się nie nadąży za stolicą, a co dopiero za światem; odwieczna egzotyka, o której sądzono, że została już tylko w skansenach.

Oczywiście, Centkowski kontrastuje te obrazy scenami z zakładów bawełnianych, dworca autobusowego, ale także na sposób refleksyjny: „To inny, jaśniejszy, a może tylko wyrazistszy, odcień szarości” — zdaje się mówić.

Wystawę puentuje przejmujący portret starej kobiety, która w szarości bliskiej czerni — tak można by nazwać jej los — znajduje się tylko metaforyczną jaśniejszą smugą, ale motywację do wypełnienia swojego życia najkonkretniejszymi

katalog szarości

codziennymi staraniami i pracą. pracą. pracą. Mówi o tym w cytowanej przy zdjęciu wypowiedzi. Całej wystawie zresztą towarzyszy interesujący tekst odautorski.

— Dlaczego Łomża zainteresowała Pana?

— Przed rokiem wystawiałem portret Suwalk, i jeśli tam zafrapowało mnie zderzenie sielskości tego miasteczka z jego wojewód-

kim nowobogactwem, o tyle w Łomży interesowali mnie ludzie. Mam tu kilku znajomych, kolegów ze studiów i trochę znam to miasto. Zawsze imponowało mi żywością kulturalną, patrzaniem nie tylko we własne sprawy. Bardzo łomżyńskie jest, na przykład, to spoglądanie na Warszawę; a jednocześnie są tu pewne zastalności, które chciałbym podsunąć mieszkańcom i władzom.

— „W Łomży” to druga indywidualna wystawa co było przedtem?

— Studiowałem w Akademii Rolniczo-Technicznej technologii żywności, ale zajmowałem się fotografią. Zdobyłem I nagrodę na Biennale Fotografii Studenckiej w Kielcach i dwukrotnie w latach 1979 i 1980, nagrodę „Czerwonej Róży”.

— Czy studium szarości Łomży to rezultat warsztatowego założenia?

— Nie, to wpływ moich lektur w ostatnich latach; pociągnęli mnie autorzy, których określa się mianem prekursorów egzystencjalizmu, a w Łomży jest coś takiego, co każe te szare nastroje wydobywać.

— Czy następnym obiektem Pańskiego zainteresowania będzie, geograficznie rzecz biorąc, Ostrołęka?

— To nie sprawa geografii. Od trzech lat przygotowuję wystawę „Nie tylko misterium”: szeroki, socjologiczny zapis obrzędów prawosławnych w Grabarce.

Fot. KAZIMIERZ CENTKOWSKI



Teraz był on dla nich antychrystem. Spadł tak nagle w ognistych smugach, dyszący gniewem, jakim go nigdy nie widzieli. Chłopi zwątpili nawet czy to „Michorowski”; a może upiór z mogiły? Donośny głos jego ścinał ich lękiem.

Nie było możliwości wytłumaczyć im nic, ani spytać, dlaczego rąbią dworski las. Ordynat zwoływał ich, bez skutku. Rozpierzchli się tak szybko, że ujęto tylko kilku najzjadlejszych przewodników. Ale i ci, oprócz drapania się w głowę i niezrozumiałego bełkotu, nie dawali wyjaśnień. Pręstrach zniszczył ich odwagę, zdusił tryumf i żądzę zaboru. Ordynat, patrząc na nich, litośnie kręcił głową. Ta dzicz mogła ulec złym wpływom tym łatwiej, że brakło im szczypty cywilizacji, główną zaś ich cechą była chciwość.

Michorowski oglądał szkodę. Z zalem patrzył na potężne pnie dębów leżących ciężko na ziemi. Na odkryte rany błyszczące świeżymi słojami, na mnóstwo rozłupanych drzazg sterczących jak noże. Ordynat stał na tym cmentarzysku, niemal głowę chciał odkryć przed zwłokami mocarzów boru. A dęby nie ścięte mruczały cicho, rade z ocalenia, wdzięczne za ratunek, ale smutne, ale żyły roniące na ciała towarzyszy poległych.

Cały bór był jeszcze w osłupieniu, niemy, pod wrażeniem odegranej tu tragedii, głuchy, stroskany.

Ordynat wracał do pałacu wolno, z głową zwieszoną, jak po pogrzebie. Drogę oświecały mu pochodnie; dokoła niego człapały konie; chłód przenikł go aż bolesny. W piersiach uczył przebiecie jakby dziać, miecze miał w płucach. Brakło mu oddechu nawet do prędkiej jazdy.

A myślał był ciągle przy dębach. Na szczęście niewiele umarło. Takie kolosy i już bez życia, bez duszy. Nie zaszumią już, umilkły na wieki.

Ordynat westchnął. Uczuł silne ukłucie w boku. — Czym ranny? — pomyślał.

XIII

Choroba wybuchnęła nagle ze zdumiewającą gwałtownością. Ordynat kaszlał, męczący ból w boku wzmagął się i groził.

Michorowski zaczął płuć krwią.

Biało-Czerkasy trzęsły się, w Głęboczach zamierali z trwogi. Alarmujące telegramy strzelca Jura zwoływały do łóża chorego lekarzy, niosły przestraszające horoskopy do rodziny; uderzały gromem.

Ale nikt nie wiedział dokładnie, co się stało. Depesze były groźne, lecz niejasne. Ranny, czy chory?

Luci ta niepewność podniosła włosy na głowie, lecz przed dziadkiem zatała wieść mogącą go zabić.

Piątego dnia w zamku biało-czerkaskim zapanowała panika. Nie ma ratunku!

Słowa te tragiczne rozeszły się po całej rezydencji, jak zaraza dżumy. Na kogo trafiły te słowa, białeły mu usta, zwieszała się głowa. Płochliwe echa idące z sypialni snuły się cicho po kątach, przerywane często krótkim spazmem płaczu. Jur leżał krzyżem przed drzwiami sypialni. Żadna siła nie zdołała go odciągnąć. W pokoju chorego było już jak w grobie. Cisza, ciężka atmosfera wieczoru, mętne, rozplynięte światło lampki nocnej i chmura trwożnego oczekiwania: przeżyje czy skona?

W kącie pokoju skupiona gromadka czarnych sylwetek doktorów, na poduszkach łóża, jak rozpalony węgiel, głowa ordynata, a w nogach na

pół żywa... Lucia. Dziś przyjechała i od razu przestała żyć życiem rzeczywistym. Słowa „nie ma ratunku” powitały ją od progu. Runęła do nóg Waldemara czując się już bezsilną. Jechała tu nie śpiąc i nie przestając szarpać swej duszy. A teraz pragnęła umrzeć, aby nie czekać tego pioruna, który lada chwila mógł tu spaść. Lucia tego nie pojmowała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Duchowa jej istota zmieniła się w jeden wrzód ropiący strasznie. Nikt nie słyszał jej jęku, nie widział łez. Pochłaniała to kołdra na nogach Waldemara. Doktorzy przyzwyczajali się przez kilka godzin do wiotkiej, czarnej postaci dziewczyny, zwisłej na łóżku. W świetle przyćmionym widniał jej jasny warkocz, spływał na suknię, jak niedbale rzucona wstęga.

Godziny szły jak stulecia walk i mordów. Wlokły się chwile ciężarne niezgłębioną bojaźnią, chwile, w których płynący czas sprawia szmer nieznośny. Powietrze tu gniotło, parność okropna dławila dusze napelnione lękiem do ostatnich granic. Oddech śmierci był w pokoju, ale w tej zęszczzonej masie skarg, żalów i rozpacz, przerażenia, uwiązł bezradny, jakby nie śmiał sięgnąć dalej. Ostatnie chuchnięcie ociągało się, wahało zatrasowane przemocą bólu. Już dochodzi do końca, pyłek niepewności ginie, grom ma się spełnić, lecz... zabójczy dech rozlaży się szeroko, znowu bez ostrza, znowu przyczajony, grozi tylko.

A wieki idą, idą — zda się — w nieskończoność, ciągnąc za sobą ponure historie nędz duchowych.

Ósmego dnia choroby nastąpiło przesilenie, Michorowski walczył z chorobą jak lew, ale go zmogła. Zaczęła się już walka ze śmiercią. Walka popowazna, nie rokująca nadziei zwycięstwa dla strony napadniętej. Ordynat nie chorował nigdy przed tym i teraz borykał się jak z czymś nieznanym, tracąc siły z przerażającą szybkością.

Chwilami tracił przytomność i znowu ją odzyskiwał. Gorączka chwyciła go w zabójcze szpony.

Organizm silny i zawsze odporny tym razem uległ z żywiołową mocą. Zapalenie płuc rozgorzało mściwie, chłonać mięśnie, krew i umysł.

Świt październikowy, spowity w siwych kożuchach mgieł, wilgotny, ciężki przylepił się do okien pałacu i rozmywał na nich swe ołowiane akwarele, ociekające wodą po szybach. I stopniowo dodawał farb białych, rozjaśniał je, wykańczał.

Dzień rozsunał zroszone powieki. Blade źrenice, bez błysków, ale otuche niosącą, wyjrzały swobodnie.

W sypialni zgasała lampka.

To oddech złowrogi nie dotarłszy do łóża, zdmuchnął ją i znikł zabity porankiem.

Ale o tym nikt jeszcze nie wiedział.

Groza wisiała.

Ordynat otworzył szeroko oczy.

— Co to? — spytał nieprzytomnie.

Zerwali się wszyscy pełni strachu, ale bez szelestu.

— Co to? Kto jest? — powtórzył chory.

Lucia pochylała się jak senna.

— Ja jestem, Waldi.

— A! Stefcia! Widzisz... wróciłaś.

Głucha cisza.

— Wróciłaś? Już nie odejdziesz: prawda? Mów!

— Nie!

— Zostań! zostań! Tak dobrze! Ale ty pójdziesz... boję się!

— Zostanę, Waldi. Zostanę.

seks ucywilizowanych

Zabawa towarzyska, wódka, wino, tańce przy adapterze, nastrój. Pani miała powodzenie. Asystujący jej pan, choć posunięty już w latach, tańczył jak młody bóg, a pil jak ułan (był nim kiedyś). Pani początkowo starała się zachować umiar, ale pod wpływem czarów uwodziciela wpadła w szampański humor i nie odmawiała kolejek, aż w rezultacie poczuła się niedobrze i oświadczyła, że pragnie wrócić do domu.

Pan po rycersku ofiarował się doprowadzić ją do taksówki. Wyszli razem; pani chwiała się nieco na nogach. Co stało się potem, tego pani już nie wiedziała, bo... odzyskała świadomość w ramionach pana w jego mieszkaniu „Gdzie ja jestem! — spytała. — Co pan ze mną zrobił! Jakim prawem?”!

Morał: w sprawach miłosnych alkohol to też wróg.

nie czyń drugiemu

Pytano kiedyś Talesa: — Co jest szczególnie trudne?

- Poznać siebie samego.
- Co łatwe?
- Udzielać rad drugiemu
- Co najmiłsze?
- Osiągnąć, czego się pragnęło.
- Co jest boskie?
- To, co nie ma początku ani końca.

kariera kartofla

Dziś ziemniaki na tyle spowszedniały, że nikomu nie przyjdzie do głowy domyślać się ich burzliwej historii. Do Europy przywieźli je w połowie XVI stulecia hiszpańscy konkwistadorzy. Oczywiście, w Nowym Świecie szukali oni nie ziemniaków, lecz złota iuków. Tak ziemniak zaczął podróż światła. Pierwsze bulwy dotarły do Hiszpanii, a stamtąd — do Włoch i Francji.

Pewnego razu król Ludwik XVI przyozdobił własną kamizelkę bukietem pierwszych kwiatów kartofla. Od razu wzrosło zainteresowanie nimi wśród dworzan modnisiów, a i chłopci mieli dodatkowy bodziec do hodowli zamorskie-

— Co widziałeś wyjątkowo dziwnego?

— Tyrana, który dożył sędziwego wieku.

— Kiedy najłatwiej znosić nie-szczęśliwy los.

— Gdy widzimy wrogów w gor-szym niż nasze położeniu.

— Jak żyć najlepiej i najspra-wiedliwiej?

— Nie czyniąc tego, co ganiemy u innych.

— Kto jest szczęśliwy?

— Ten, kto cieszy się zdrowiem, życzliwością losu, i kto wykształcił w sobie wartościowe przymioty du-cha.

Wg Diogenesa Laercjusza

go dziwadła. Pruski cesarz, Fryderyk I, agitował do hodowli ziemniaka po swojemu: rozkazał obcinać uszy i nosy tym wszystkim, którzy uchylali się od jego uprawy.

Do Rosji ziemniaki przybyły za pośrednictwem Piotra I. Podróżując po Holandii — przesłał w roku 1700 do domu worek ziemniaków i rozkazał troszczyć się o ich rozpowszechnienie. Z początku zwolennikami kartofli byli dostojnicy i uczeni; ludzie próci odnośli się do nich z uprzedzeniem: nie wiedzieli, jak je uprawiać ani spożywać.

Bywały nawet w historii rozwoju hodowli ziemniaka na tym terytorium kartoflane buntury. Ale stopniowo ludzie zaczęli doceniać wartość „ziemnych jabłek”, jak je na początku nazywali. W Rosji w roku 1785 wydano w ogromnym — jak na owe czasy — nakładzie 10 000 egzemplarzy instrukcję ich uprawy. W ciągu trzech następnych lat dotarły nawet na Kamschatkę. W połowie ubiegłego stulecia stały się już „drugim chlebem” w wielu krajach.

ogłoszenie matrymanialne sprzed 100 lat

Jestem grzeczna, czuła, młoda.
Jak mówią, jest i uroda.
Me całe urzędowanie —
Okolo domu staranie.

Chociaż to żadna zaleta,
Przeżyłabym bruneta,
Oko żywe, wąż szeroki
Przystojny, zgrabny, wysoki.

TANIE DANIE

pierogi z czarnymi jagodami

Zagnieść ciasto z 35 dkg maki, 1 jaja i takiej ilości ciepłej wody, by było „tęgie” i po wyrobieniu nie lepiło się do stolnicy ani rąk. Ciasto cienko rozwałkować i wycinać kieliszkiem od wina kółka. 1/2 kg pięknych czarnych jagód zmieszać z 1/4 szklanki tartej bułki i 2 łyżkami cukru. Nakładać łyżeczką na kółka, po czym zlepić zgrabne pieroż-

ki. Wrzucać partiami do wrzątku i gotować 3-4 minuty od chwili ponownego zagotowania się wody. Wyjmować łyżką cedzakową. Na półmisku posłać masłem. (Podobnie robi się pierożki z wiśniami, czereśniami i jeżynami). Oddzielnie podać cukier i miodą, gęstą, niezbyt kwaśną śmietanę.

radę dla parady

Placzące dziecko umilknie, jeśli puścisz mu taśmę z... jego własnym płaczem.

—◇—

Jeśli nie masz strzyżarki do trawnika, kup lub wypożycz sobie owcę i wpuść ją do ogródka. Owce strzygą trawę równiej niż maszyny.

—◇—

Nie liź znaczków z kaczo-rem Donaldem ani myszką Mouse! Amerykańscy handlarze narkotyków pokryli je warstwą LSD.

tylko dla młodych

Miłość jak zmywanie — wciąż trzeba zaczynać od początku.

Magdalena Samozwaniec

Miłość należy ofiarowywać jak kwiat, a nie wieszać jak kamień u szyi.

Józef Bester

Dziewczęta, jedzcie jarzyny; urody przybywa, a wagi ubywa.

z targowiska

Nie pomogą szminki, mody, kiedy pannie brak urody.

dawne lwowskie

Nie ma miłości życia bez rozpaczy życia.

Albert Camus

Idiotki nigdy nie są takimi idiotkami, jakimi się wydają. Idioci — owszem.

Marcel Achard

Młodość kokietowana przez starość — przyjemność dla obu stron.

Leopold R. Nowak

Kto się z każdą bawić gotów, ten nabawi się kłopotów.

porzekadło

Mężczyźni polują, kobiety łowią.

Wiktor Hugo

Nie wiadomo, gdzie dziś trzymać serce: w piersi, na dłoni czy w portfelu.

Leopold R. Nowak

1		2	3	4	5	6	7
19	8		13	7	4		15
9	10		16	11	20	12	
13	5		14			6	
		15	16		17		
18		19	20	21			
22		23		24	25		26
27				28			
		29	10	14			
30	18			31		9	12

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z kwadracików ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 20, utworzą dodatkowe aktualne hasło.

POZIOMO: 1) z gwintem do łączenia elementów, 5) pszczołka z dobranocki, 8) nabranie szybkości, 9) obraz religijny kościoła wschodniego, 11) cenny gatunek lososia pacyficznego, jego ikra przerabiana jest na kawior czerwony, 13) okres godowy cietrzeźwa, giusza, 14) jednostka objętości używana w krajach anglosaskich, 15) zasila Wartę, 17) nieoficjalny organ Tureckiej Partii Robotniczej, 18) król wśród zwierząt, 20) przynęta, 22) nauka o moralności ustalająca dyrektywy moralnego postępowania, 24) jednostka natężenia oświetlenia, 27) jugosławińska złotówka, 28) młody kogut, kurczak, 29) okruczowa skała osadowa, odmiana piaskowca, 30) zwierzę domowe, 31) z Miletu.

PIONOWO: 1) brząsk, 2) czar, powab, wdzięk, 3) grupa wysp japońskich w zachodniej części Oceanu Spokojnego, 4) Cyganka z powieści „Chata za wsią”, 5) cierpienie, 6) imię żeńskie, 7) kochanek, 10) ciało niebieskie z wakoczem, 12) dźwięk podstawowy skali diatonicznej, 14) zabawa, 16) nasz pierwszy reaktor atomowy, 18) za jego pomocą przykleja się papę, 19) niejeden w zdaniu, krzyżowce, 21) rodzaj wierzchniego okrycia, 23) pozbawienie wolności, 25) góry stanowiące granicę między Europą a Azją, 26) powierzchnia ukośna, skośna, 28) zajęcie w gwarze myśliwskiej, „HCL”

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali do redakcji prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

książka stragan pod trzynaście



trener odchodzi

Andrzeja Targa kibicom przedstawiać nie trzeba. Znają go wszyscy sympatycy piłki nożnej w województwie. Rozmowa, chociaż zaplanowana już dawno, odbyła się dopiero tuż przed jego odejściem z ŁKS-u.

„Kontakty”. — Piłkarze ŁKS-u o mały fiolet nie spadli z III ligi, nie jest to chyba powód do zadowolenia?

ANDRZEJ TARG: — Mimo to cieszę się bardzo, bo sytuacja odpowiada wszystkim.

— Czy z gry zawodników też jesteś zadowolony?

— Tak, bo wielu zawodników poczyniło znaczne postępy. Fakt, że w zespole po odejściu Petkowskiego i Wojtkielewicza powstała luka, ale jakoś poradziłem sobie. Prawda zaś jest taka: nie tylko klub, ale i Łomża nie stać na skompletowanie trzech drużyn w ciągu dwóch i pół roku.

— Nie rozumiem.

— Przecież większość zawodników z obecnego zespołu Olimpii to nasi wychowankowie. Odeszli do Zambrowa, więc zaczęliśmy budowę następnego zespołu, który nie spełnił nadziei. Teraz grała już trzecia drużyna i — co ważniejsze — sami łomżyńscy. Na razie wyczerpaliśmy wszelkie rezerwy, a nie można bezkarnie w nieskończoność dokonywać przemeblowań w drużynie.

— Niektórzy twierdzą, że załamanie w drużynie nastąpiło po przyjeździe Wojtkielewicza, a prawdą jest, że w drugiej połowie rundy jesiennej ŁKS przestał grać.

— Nie zgadzam się. Byliśmy beniaminkiem i w końcu nadszedł kryzys.

— Ale Petkowski przestał strzelać bramki.

— Aby zdobywać bramki, oprócz umiejętności potrzeba trochę szczęścia, niestety. Drużyna „posypała się”, bo wobec Wojtkielewicza nie dotrzymaliśmy wcześniejszych obietnic. Przestał się więc wysilać. Z po-

dobnych powodów odeszli Petkowski i straciliśmy Rańczuchę. W obecnym układzie nie stać nas na zatrzymanie najlepszych.

— Na wiosnę napastnicy nie wykazywali nawet stuprocentowych sytuacji.

— Do strzelania goli trzeba mieć smykałkę, trzeba się z tym urodzić. Dobry A-klasowy zawodnik nie potrafi grać w III lidze. U nas nie było dobrego napastnika, a bramki strzelał pomocnik — Ościłowicz.

— Jak więc widzisz przyszłość ŁKS-u?

— Nie powinno być źle, ale drużynie potrzeba ze trzech seniorów, bo ostatnio grali prawie sami juniorzy. Nie obejdziesz się bez „zakupów”.

— Czy klub na to stać?

— Tak. Wbrew pozorom nasi piłkarze zarabiają na siebie. W ciągu pół roku sekcja zarobiła milion: za Petkowskiego 350 tys., remont stadionu — 400, reszta to dochód z meczów.

— Handel wchodzi więc w nawyk?

— Takie są realia. Na razie kupiliśmy jedynie Wilczewskiego i to za „psie pieniądze”.

— Za ile?

— Pięćdziesiąt. Niektórzy tyle teraz zarabiają miesięcznie. Żeby nie kupować, trzeba stworzyć warunki, aby najlepsi wychowankowie nie odchodzili. Nie mamy możliwości ich zatrzymania, co im zaoferujemy? Rotacja jest jednak potrzebna, ważny jest element rywalizacji, jaki ma wtedy miejsce.

— Jakie nowe twarze zobaczymy jesienią?

— Nie orientuję się dokładnie. Pertraktacje trwają, sprawy mogą się wyjaśnić z dnia na dzień.



Drużyna Naprzodu Lipiny (1961) od lewej: Salamon, Szczesny, Targ, Gruszka, Kasprzyk, Gzel, Brychczy, Piechniczek, Morcińczyk, Kuś i Halemba.

nieustający konkurs

Wśród Czytelników, którzy w ciągu siedmiu dni nadesła prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy nagrody — niespodzianki.

KUPON KONKURSOWY

Podaj imię i nazwisko wielokrotnego mistrza świata, pięciokrotnego olimpijczyka, zdobywcy srebrnego medalu na igrzyskach w 1956 roku w Melbourne.

Odpowiedź:

Imię, nazwisko i dokładny adres

— Trener może nie orientować się w takich sprawach?

— Musi. ale ja w klubie już nie pracuję.

— Wyrzucają Cię?

— Przekonano mnie, że przydam się w WFS w Łomży jako kierownik wyszkolenia.

— Czyżby koniec z piłką?

— Prawdopodobnie będę na „kawałku” etatu pracował w ŁKS-ie z młodzieżą. Zawsze chciałem to robić.

— Na tej zmianie na pewno straci klub, a zyska federacja.

— Dziękuję, miło mi!

— Kto będzie twoim następcą?

— Jest to zawsze do końca tajemnicą. Ale mogę zdradzić, że jeden ze znanych szkoleniowców wyraził chęć przyjazdu do Łomży. Jeśli pomyślnie sfinalizujemy rozmowy, wszyscy się zdziwią.

— Wiadomość o Twoim odejściu tak mnie zaskoczyła, że odeszliśmy od tematu. Co będzie z ŁKS-em, jeśli nie udadzą się zakupy?

— Jeśli założymy, że nikt z obecnego składu nie ubędzie, ale i nikt nie dojdzie, to mimo wszystko będzie ciężko, mimo że ten skład zremisował przecież w Szczepnie i to bez żadnych szwindli, i czymś to świadczy. Potrzeba chyba zmiany motywacji, a wbrew opiniom niektórych „fachowców” na wiosnę zespół grał dojrzalej niż jesienią, chociaż dorobek punktowy i bramkowy świadczy o czymś zupełnie innym. Tak to w sporcie bywa, brak szczęścia.

— Różne plotki krążą na temat meczu w Zambrowie.

— Jeśli nawet oddalibyśmy punkty Olimpii i tak wtedy nie wiadomo by było, czy zdołają się utrzymać. Za dużo stracili jesienią.

— ŁKS awansował do III ligi przy zielonym stoliku, z rozdzielnika. Olimpia wywalczyła awans w twardej grze. Dlaczego więc zambrowianie spadli?

— Im, podobnie jak nam, „posypał” się skład i ciociaż mieli bardziej wyrównany i doświadczony zespół, nie udało się. Może byli za pewni swego? W sporcie bywa i tak, że przegrywa lepszy.

— To już drugie Twoje odejście z tego klubu, nie żal odchodzić?

— Będę pracował dalej z juniorami. Zawsze czegoś jest żal, ale w końcu trzeba trochę odpocząć. Nie można ciągle być „mamką” dla dorosłych ludzi, czas, aby zaeźli działać samodzielnie.

— Zostawiasz ich w krytycznym momencie.

— Trudno, ale zawsze dzieje się tak, że kłopoty spadają na trenera i garstkę ludzi związanych z klubem na dobre i złe, a w ŁKS-ie jest sporo oddanych ludzi, poradzą sobie, jak to robili już wielokrotnie.

— Dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁ STANISŁAW
TOMASZEK

Łomża leży nad Narwią

niestety, nikt nie ma lekko. Niech nie narzekają, sprzętu mają dość, na jednego zawodnika przypada go za kilkadziesiąt tysięcy złotych!

— Brak paliwa? Oczywiście. Nam potrzeba 110 tysięcy litrów, natomiast do podziatu jest tylko 16. Dla wszystkich! Oprócz sportowców jest w tym województwie jeszcze służba zdrowia, rolnicy, itd. WFS daje im dużą część swojego przydziału, już więcej nie można. Baza socjalna? A gdzie lepsza? To przecież bolidzka ogólnokrajowa. Na razie nie nie poradzimy.

W ŁTW w sekcjach wioślarskiej i kajakarskiej trenuje około siedemdziesięciu dziewcząt i chłopców. Dziewięćdziesiąt procent zadaszonej, ale nie ogrzewanej powierzchni, którą dysponuje klub, zajmuje sprzęt pływający: turystyczny i wyczynowy. Zalega także na trawniku przed siedzibą LOK-u. Z tego powodu od czasu do czasu wynikają spory, bo trawniki są po to, aby na nich rosła trawa, chociaż taka argumentacja nie bardzo trafia do przekonania tych z ŁTW-u, co z kolei trudno zrozumieć LOK-owcom rezydującym w pięknym, murowanym budynku, mieszczącym hangary, wucety i inne wygodę. Wodniakom z ŁTW-u za szatnię musi wystarczyć ciemna klatka o powierzchni zaledwie kilku metrów. Nie ma więc gdzie się przebrać, ani wysuszyć przemoczonej odzieży. Najlepiej wiedzieć się skutnikom, którzy pracują na świeżym powietrzu, nie narzekają więc na zapylenie.

Na zawody wyjeżdżają publicznymi środkami lokomocji. A w podróży toto-łotek: dojadą łódki czy nie. Bo, żeby liczyć się w kraju, zdobywać spartakiadowe laury, trzeba uczestniczyć w różnych zawodach, eliminacjach, sprawdzianach, sam trening nie wystarczy.

Pomimo tego, albo na przekór, sukcesy: medale w ogólnopolskich spartakiadach młodzieży i to nawet złote, co rok kilku zawodników w kadrze Polski. A mogłoby być jeszcze lepiej, gdyby...

Kajakarze i kajakarki sukcesami zjednują sobie sympatię kibiców i podbijają serca łomżyńskich. Tylko ojcowie miasta jakby nic o tym nie wiedzieli. Problemów wodniaków można nie dostrzegać, jest przecież wiele ważnych spraw do załatwienia w mieście. Można także rozważyć ten cały kram pozbywając się kłopotów.

Póki co działacze z ŁTW takomnie spoglądają na budynek po starej łaźni przy ul. Rybaki, tuż obok ogródka jordanowskiego. Budynek od pewnego czasu stoi pusty i niszczeje. A mogłyby się tam pomieścić i administracja, i magazyny na sprzęt, pracownia szkatulnicza, łazienki, szatnie, a nawet świetlica i hotelik. Część prac, jak mnie zapewniano, można wykonać w czynnie społecznym. Ze sprawą zapoznano przedstawiciela GKKFiT podczas podsumowania Łomżyńskich Dni Sportu. Poparł inicjatywę i obiecał pomoc finansową. Na podobną pomoc ŁTW może liczyć w przyszłości i ze strony Rady Wojewódzkiej „Start”, ponieważ obecnie toczą się pertraktacje o przyjęcie klubu do zrzeszenia.

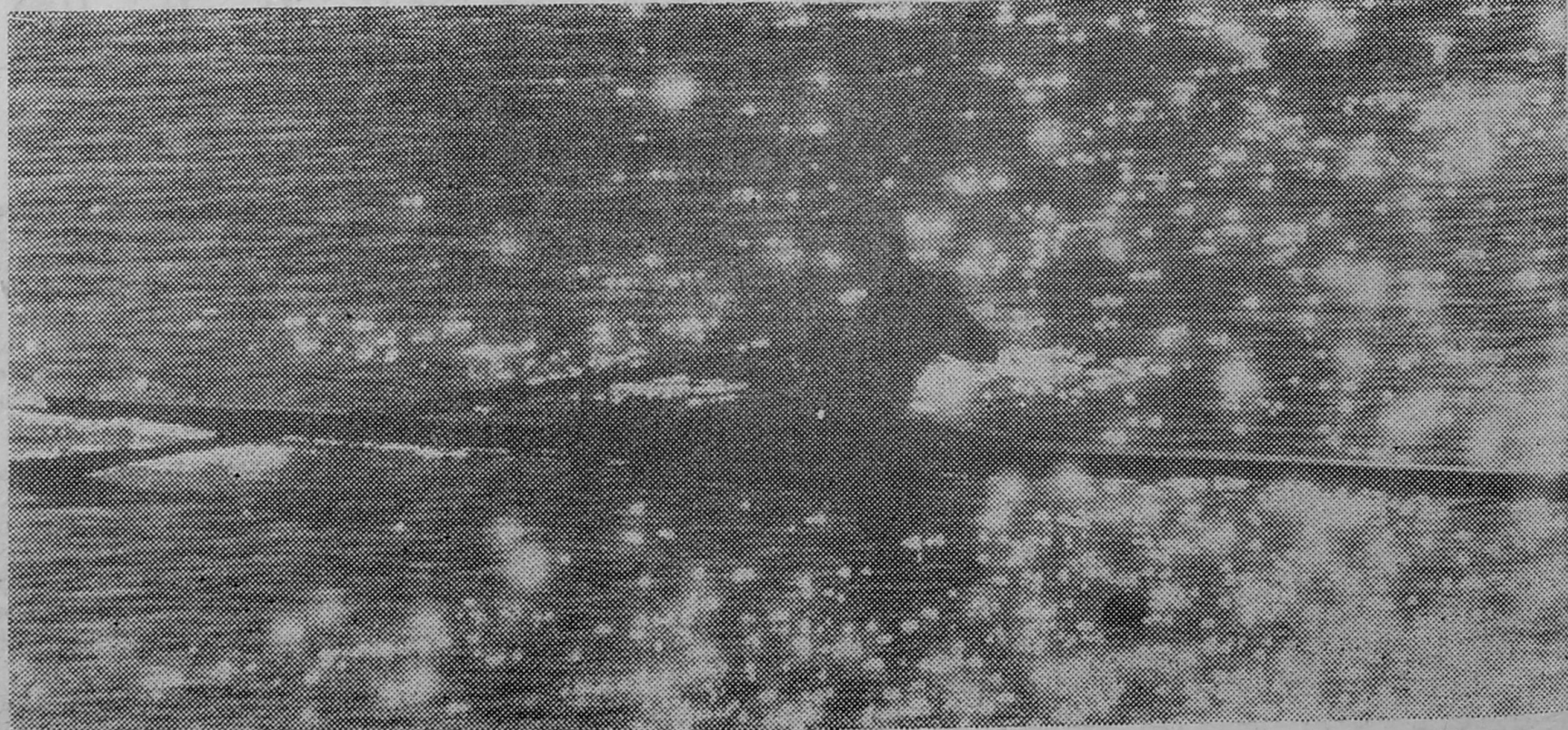
Na fuzji skorzystaliby również mieszkańcy Łomży. Zyskaliby wy pożyczalnię sprzętu wodnego z prawdziwego zdarzenia — co doskonale propagowałoby sporty wodne.

Wszak historia Łomży od zarania dziejów wiąże się z Narwią.

WYMIATA CZ

O siedemdziesiątka stuknęła przed dwoma laty. Uroczysta akademia: oficjele, przybyli z całego kraju starzy członkowie; klapy, koperty, dyplomy, wyrazy uznania, wspomnienia, deklaracje. Nie wiem, czy była część „nieoficjalna”, ale działacze Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego mają „moralniaka” do dziś, bo deklaracje w większości okazały się bez pokrycia. Wiadomo: trudności obiektywne.

— Jakie trudności? Takie czasy,



sport



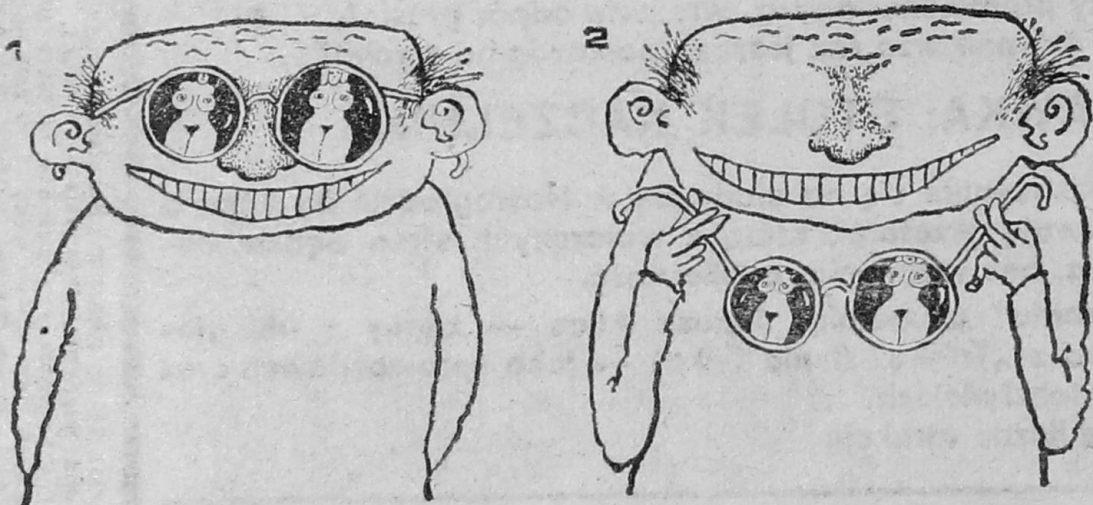
Rosiewicz TO JA napad na bank

Jestem jeszcze całkiem niezły towar —
Zdaję sobie z tego świetnie sprawozdanie,
Więc w kwestorze wdzięków swych nie chowam,
Lecz wystawiam na publiczne oglądanie.

A urodę swą pobieram u kosmetyczki.
całą chemię poprzykładam na policzki,
Oczy, pięty, rzęsy i policzki.
Czasem szarpnę się na mydło i nożyczki.

Lubię bardzo mieć w porządku moje pióra
I z butika po trzy koła fajne kiecki.
Obuw też mam, nie ma plamy, z węża skóra.
Szprecham z lekka ruski i niemiecki.

Czuję bluesa, przez Wisłocką przeleciałam.
Całe życie kocham się w Trawolcie Johnym.
A poza tym to się nie dam wpuścić w kanał.
Parę dzieńków lubię mieć, i to zielonych.



Gdy jest nieźle, to za szmałem też popłynę.
Nie obcinam się, w kieszeni też nie mam gada.
Trzymam twarz, znam manów cały rynek.
Za publiką, co jest słaba, nie przepadam.

Konkurencji nie mam żadnej z tej dziedziny.
Grupę krwi najlepszą — wielkie zero.
Nie dam nigdy w życiu wpuścić się w maliny
Przylatuję, jak ktoś prosi. Jestem Herod.

Andrzej Rosiewicz wystąpił w Łomży 24 VI br.

horoskop

Dyrektorowanie, kierowanie zespołem ludzi to tyleż sztuka, co wiedza. I nie tylko z teorii organizacji i zarządzania, ale i z pogranicza astrologii. Poznanie charakteru i usposobienia podwładnych pozwala na znalezienie im najodpowiedniejszego dla ich temperamentu i uzdolnień zajęcia i zakresu obowiązków. Chodzi przy tym nie tylko o lepszą wydajność pracy, lecz i o to, by każdy wykonywał ją z przyjemnością. Uwzględnienie cech charakteru współpracowników pozwala na zapobieganie konfliktom koleżeńskim, a poznanie osobowości przełożonych pomoże wyeliminować niepotrzebne „wpadki”. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że nie wszyscy ludzie są charakterologicznie „czyści”, a niektórzy nabywają cech znaków sąsiadujących.

SZEF BYK

(21 kwietnia — 21 maja)

Jest miły, taktowny, nie rzędzie i nie denerwuje się do czasu, oczywiście. Jako największy realista spośród znaków Byk jest tak by stworzony na stanowisko kierownika, chociaż „władza” nie sprawia mu przyjemności i nie lubi przecinania wstęg przed siebie.



gdzie Francja ma Belgię



„Ameryka, Ameryka” — tak zatytułował swój ostatni program kabaret „Ssak” czyli „Honorowy krwio pijca”, z którym gościł pod koniec czerwca w sali Wojewódzkiego Domu Kultury w Łomży. Złożyły się nań monologi, skecze i piosenki, zgrabnie z sobą połączone. Początek programu, może cokolwiek statyczny, nastrojał troszkę pesymistycznie: gdzie ten „Ssak” z dawnych lat, pełen dynamizmu i humoru? Wątpliwości trwały krótko. Wykonawcy, Wojciech Drózd, Jerzy Pyżalski, Leszek Kumański oraz jedyna piosenkarka, Maria Sajda-Drózd, szybko sprawili, że widowia wpadła w znakomity humor. Skecz „skojarzeniowy” doprowadził ją nieomal do łez radości, a dwa sposoby „przedstawienia” dyskusji telewizyjnej do reszty rozbawiły publiczność. Kontynuacją telewizyjnego wątku była parodia programu „W starym kinie”, w którą dość zreżymie został wpleciony — jak wieścił afisz — unikalny striptiz.

Na tle zalewającej nasz kraj szmiry kabaretowej program prezentowany przez „Ssaka” wyróżnił się bardzo korzystnie starannością wykonania i dobrymi tekstami. Nie była to próba zdobycia pieniędzy (czyli widza, śmiesznymi, ogranyymi tematami, ale szukanie nowych sfer komizmu i satyry. Nie powtórzyły się żadne gagi z poprzednich programów kabaretu, widać twórcom „Ssaka” zależy na odbiorcach i własnej oryginalności.

Skąd tytuł publikacji? Z programu. Otóż Francja ma tam Belgię, gdzie Polska — Suwalszczyznę. Czy to źle?

(Z.H.)

dla szefów i podwładnych

rozgłosu. Wszystko, co jedynie z myślą o korzyściach dla „swego” zakładu. Nie tylko nie lubi błasków i fajerwerków, ale nawet pstrokatych strojów pracownic. Ich kiecki powinny być w spokojnych barwach, co nie wyklucza modnego kroju. Wada Byka jest upór, który staje się zaletą, gdy np. dyrektor Byk z uporem broni pracownika, którego lubi i ceni. Dopóki nie napotka w przedsiębiorstwie na zdecydowaną opozycję. Dyrektor Byk jest łagodny jak baranek. W gruncie rzeczy bowiem jest on człowiekiem spokojnym i zgodnym. Uwzględniając jego charakter można z nim wytrzymać aż do emerytury.

PODWŁADNY BYK

Nie lubi zmieniać posad, choćby szanse awansu w swoim przedsiębiorstwie były nikłe. Byk jest typem trzeźwo myślącym, wyrafinowanym, często nawet konserwatywnym. Powolny, nawet flegmatyczny, ale również cierpliwy i wytrwały. Osoby z tego znaku należą do naj-

lepszych pracowników. Szefowie bardzo cenią Byka, gdyż jest spokojny, zgodny, zrównoważony, nie ma zwyczaju przeciwstawiać się odgórnym dyspozycjom. Byki nie przepadają za szerokimi kontaktami z klientami, choć np. dobrze się sprawdzają w kasie. Nie lubią też jeździć w delegację. Bardzo dobrze się czują na stałych, pewnych posadach w dużych przedsiębiorstwach dających możliwość awansu. Nienawidzą prowizorki i niepewności.

Pod tym znakiem urodzili się m.in. Włodzimierz Lenin, Karol Marks, William Szekspir, Kazimierz Wielki, Karol Wojtyła — Jan Paweł II, Władysław Sikorski, Ho Chi Minh, Józef Poniatowski, ajatollah Chomeini, Katarzyna II, Elżbieta II, Gustaw Holoubek, Jan Pietrzak, Stanisław Mikulski, Stanisław Moniuszko, Henryk Sienkiewicz, Jan Kiepura, Honoré de Balzac, Jan Panderowski, Sylwester Chęciński.

BAWIALNIA

BAWIALNIA

BAWIALNIA